

# PLUSZCZ

*Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy*

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 6 CZERWCA 1931 ROKU.

NR. 23.

TREŚĆ NUMERU: Zjednoczenie — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Bułgarki — *Jadwiga Krawczyńska*. O czeskiej kobiecie — *Herminja Nagleroma*. Jugosłowianki — *Ewa Szelburg-Zarembina*. Rosjanka — *Zofja Miszewska*. Kobiety dla siebie — *N. J. Z* książek — *S. P. O. Z* teatrów — *S. P. O.* Wystawy żeńskich szkół zawodowych w Warszawie. Ś. p. Marja z Wolskich Zawiszyna — *Karolina Bielańska*. Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica. W krzywym zwierciadle — *Marja Ankiwiczowa*. Jak i na czym oszczędzać? — *mar.-mor.* Jak dorabiać — *Halina Orska*. O zbiorze truskawek — *Zofja Wróblewska*. Piętnaście procent — *Pani Elżbieta*. Obiady dla pracującej inteligencji — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek kolorowy „Mody i roboty”. Arkusz wzorów.

## ZJEDNOCZENIE

Największą udręką człowieka jest samotność, największą klęską narodu, czy państwa — osamotnienie.

Od indywidualnej samotności ratuje człowieka miłość i przyjaźń. Państwa zapobiegają swemu osamotnieniu przez traktaty, umowy, entente'y, porozumienia. Wielka Wojna unaoczniała kruchość i tymczasowość tych sztucznych nieraz wiązań, a jednocześnie wyolbrzymiła i uświadomiła tkwiącą w każdym człowieku potencjalną moc i tęsknotę do drugiego człowieka. Nigdy tak silnie, jak po wojnie, nie rozżarzyło się w narodach pragnienie bratania się, zatarcia uraz, zniwelowania zatargów, zapomnienia wzajemnych krzywd, znalezienia punktów styecznych, z których można wyprowadzić linię trwałej przyjaźni.

Długo tłumiona, a wrodzona człowiekowi potrzeba pokojowego uzewnętrzniania się, radosnej wymiany, życzliwego współżycia z ludźmi innych narodowości, ale tej samej rasy duchowej, znajduje ujście w tysiącznych formach porozumienia, jednoczenia się, bratania. Ponad dość wąskim łożyskiem oficjalnej międzynarodowej propagandy i wymiany przerezucona zostaje gęsta sieć porozumień pewnych grup ludzkich, związanych wspólnością interesów, zawodów, ideałów. Każde oczko w tej sieci — to pierścień przyjaźni, zamknięty na ręce dotychczas obojętnej, nieufnej, czasem wrogiej; to nowa komórka, zasklepiona w tym wielkim plastrze miodu, jakim mogłaby się stać ludzkość, gdyby jej większość składała się ze pszczoł, a nie z trutniów i szerszeni.

W tym momencie przychodzi do głosu kobieta — kobieta, której sama natura dała w rękę najsilniejszą broń do zwalczania samotności i która od stworzenia świata była i jest jej najzaciętszym wrogiem; kobieta, która naprzód uspołeczniła mężczyznę przez rodzinę, a teraz powinna uspołecznić ludzkość przez stworzenie rodziny narodów.

Do tej misji dziejowej kobieta jest specjalnie predysponowana, dzięki odmiennemu, niż u mężczyzny, nastawieniu psychicznemu wobec zjawisk z dziedziny odrębności plemiennych. Kobieta reaguje na nie inaczej, niż mężczyzna; szybciej je chłonie, przyswaja sobie, asymiluje, przetrawia je i przerabia na własny użytek, wzbogaca niejako swój organizm duchowy nowymi substancjami, nie tracąc nic ze swoich przyrodzonych właściwości.

Stąd fakt, że kobieta we współżyciu międzynarodowym rzadko kiedy się wynaradawia, podobnie, jak to się często dzieje z mężczyzną. Jest od niego bardziej chłonna, ale i odporniejsza na wpływy. I ma jeszcze jedną wyższość nad nim, jest nienasycona zarówno w zdobywaniu, jak w obdarowywaniu. Dużo bierze, ale i dużo z siebie daje, szczególnie, gdy tego od niej nikt nie wymaga, gdy nie obowiązek, ale indywidualne upodobanie wchodzi w grę; kiedy nie oficjalna dyrektywa, ale osobista intuicja wskazuje najtrafniejszą i najprostszą drogę do celu. We wszelkiej propagandzie, w intelektualnej i społecznej wymianie kobieta jest elementem może mniej karnym, ale bardziej sprawnym i wydajnym w pracy, niż mężczyzna.

I tu właśnie, na tym terenie międzynarodowym, coraz bardziej się od niego uniezależnia i wyodrębnia. Coraz częściej czytamy uchwały i postanowienia międzynarodowych Lig kobiecych, których działalność i ideologia nie może się już pomieścić w ciasnych ramach ustaw, stworzonych przez mężczyzn. Prostu jest im w nich za ciasno. Wyrosły z nich, jak wyrastają dzieci z donaszanych po starszym rodzeństwie sukienek.

Odrębny dział kobiecych związków międzynarodowych stanowią stowarzyszenia, mające na celu ideowe i kulturalne zbliżenie narodów, związanych pokrewieństwem plemiennym. U nas będą to wszelkie stowarzyszenia słowiańskie. Praca w nich jest może najtrudniejsza, ale i najwdzięczniejsza. Nigdzie bowiem nie dochodzi do tak zawziętych zatargów, jak w bliskiej rodzinie, a stosunki sąsiedztwa, lub wzajemnej zależności, otwierają szerokie pole dla tarć, antagonizmów, nawet nienawiści. Odświeżyć zaniedbane węzły braterstwa, nawiązać nowe, przerzucić most porozumienia tam, gdzie dotychczas było bezdroże — oto trudne, ale jakże kuszące zadania bliskiego już, bo za dni kilka mającego się odbyć Wszechsłowiańskiego Kongresu Kobiet, zorganizowanego przez „Zjednoczenie Kobiet Słowiańskich w Polsce“.

O założeniach ideowych Zjednoczenia, o programie zamierzonej działalności i o przygotowaniach do Kongresu pisała już p. J. Krawczyńska w Nr. 20-ym „Bluszczu“ w artykule p. t. „Posłannictwo Słowianek“.

W obradach kongresowych niewątpliwie skryształizuje się wiele myśli, które dotychczas są jeszcze mgławicą, szukającą sobie właściwej formy realnego uzewnętrznienia się. Osobisty kontakt ludzi, nastawionych w jednym kierunku ideowym, wytwarza atmosferę uczuciową, wybitnie sprzyjającą pracy kolektywnej i symbiozie wewnętrznej.

W dużej mierze przyczynić się mogą do tego uczestniczki Kongresu. Niewątpliwie wniosą one w swoje obrady dobrą wolę, zapał, tolerancję, wyczuwanie cudzych pragnień i dążeń przez zrozumienie własnych; wreszcie — a kto wie, czy to nie najważniejsze — doświadczenie i zaprawę w pracy politycznej i społecznej, która nie da im zejść na wydeptane tory sentymentalnych ogólników, ale postawi sprawę zjednoczenia słowianek na gruncie konkretnych porządków.

Polska ma pod tym względem głęboko sięgające tradycje historyczne. Ideę zbratania Słowian pięćset lat temu przypieczętowała bohaterska krew Warneńczyka. Gorącą krwią swego serca pisali jej dokumenty nasi romantycy, z Mickiewiczem na czele.

Były to jednak dokumenty o charakterze przedewszystkiem mistycznym. A realna polityka niczego tak się nie boi, jak mistycyzmu. Mesjanizm był duchową pociechą skrzywdzonych, ucieczką w rozpacz,

ostoją w przymusowym bezczyniu. Rozwiał się razem z widmem niewoli. Na jego miejsce musimy postawić nowe konkretne wartości ideowe, które przemówiłyby językiem, zrozumiałym dla wszystkich Słowian.

Sprawa nie jest tak prosta, jakby się napozór zdawało. Bo — musimy to sobie my Słowianki, szczerze i bez ogródek powiedzieć. — my się przecież naprawdę tak mało jeszcze wzajemnie znamy. Nasze wiadomości o sobie są mętne i pełne luk. Złożyło się na to mnóstwo przyczyn, natury zarówno politycznej jak i kulturalnej. Jedną jest najważniejszą: oto większość narodów słowiańskich pozbawiona była przez dłuższy czas własnej państwowości. Na ich duszę nałożony był tłumik obcej przemocy. Jakże mogli porozumiewać się ze sobą ludzie, którym nie wolno było mówić? Niewola rodzi nieufność. Dopiero człowiek wolny czuje się naprawdę równym drugiemu wolnemu człowiekowi. Niepodległość stwarza teren do wzajemnego poznania się i możliwość swobodnego wyboru, nie pod kątem tego, co było kiedyś, ale tego co jest i co może być.

Najwyższy czas, abyśmy przez gęste sito przeszli rozmaite zastarzałe uprzedzenia, nawyki, nalegi polityczne. Świeży siew wymaga selekcyjnego ziarna, nowe warunki stwarzają potrzebę nowych, udoskonalonych form. Znalezienie tych form oto najpilniejsze zadanie chwili, zagadnienie, które najbliższa przyszłość powinna rozwiązać.

W obliczu tego zagadnienia dajemy Czytelnikom naszym szereg sylwetek naszych sióstr-Słowianek\*). Są to migawkowe zdjęcia, chwytane w przełocie, w podróży, wyłowione ze wspomnień osobistych, z dorywczej współpracy. Ujrzymy je tam takimi, jakimi ukazał nam je przypadek, on bowiem, niestety (poza osobistym kontaktem działaczek międzysłowiańskich na terenie kulturalno-propagandowym), decydował dotychczas o zetknięciu się ze sobą przedstawicieli bratnich narodów.

Dziś jego miejsce powinna zająć stała placówka programowej współpracy. Ciągłość — to bodajże najważniejszy warunek powodzenia wszelkich związków, to gwarancja owocnej działalności na przyszłość.

Zadaniem Kongresu powinno być stworzenie trwałej instytucji, która scentralizowałaby rozproszone i dorywcze nieraz wysiłki, i umożliwiła stałą wymianę zdobyczy kulturalnych między przedstawicielkami narodów słowiańskich.

„Zjednoczenie“ — to wielkie, mocne i gorące słowo, nakładające poważną odpowiedzialność na tych, którzy je wymawiają: słowo, pasujące na rycerzy wielkiej i dobrej sprawy. Musi być po brzegi wypełnione treścią, aby się stało ciałem.

Stefanja Podhorska-Okolów.

\*) W kolejności tych sylwetek trzymaliśmy się porządku alfabetycznego.

# BUŁGARKI

*Przyjaciółkom bułgarskim.*

Spotykamy się i mijamy, w przelocie, na krótką chwilę, podając sobie ręce. Dlaczego właśnie tak? dlaczego z tymi, a nie z innymi ludźmi? co trwa, a co przepada? pogo wtedy, a nie kiedyindziej? co wraca, a co oddaliło się nazawsze?

Myszę, że i my oddaliśmy się nazawsze, że nigdy więcej się nie zobaczymy... Nie wiem nawet, czy i gdzie żyjecie, moje miłe, tak, jak wy nie wiecie o mnie. To zapewne już niepotrzebne... A jednak nasze czasy szwajcarskie pamiętam. Może i wy.

Były to czasy młodości, co miała być piękna i była chmurna. Nasycona niepokojami, jak przed burzą. Miotana wicherą zagadnień. Udręczona niewolami ducha i świata. Dziedzicznie obciążona pytaniami od wewnątrz i zewnątrz.

Na tym okręcie młodości nastąpiło nasze spotkanie w obcej nam wszystkim Europie spokojnej, gdzie młodzież nie miała żadnych trosk, niewłaściwych swemu wiekowi.

## BOGDANA.

Naprzód poznałam Bogdanę. Pewnego popołudnia dowiedziałyśmy się, że przybędzie nowa koleżanka. Przywiózł ją starszy brat; długo rozmawiał z przełożoną i widocznie trafił do serca staruszce, bo potem, wzięwszy za rękę Bogdanę, sama przyprowadziła ją na salę ogólną.

Nigdy przedtem nie spotykałam Bułgarów, ale Bogdana nie zrobiła na mnie osobliwszego wrażenia. Była niepozorna, ani blondynka, ani brunetka, twarz miała nieładną, szarą, głowę trzymała pochyloną. Chodziła wskutek tego niezgrabnie i tylko, gdy się ożywiła, zaczynała wymachiwać rękami.

Ale dość szybko nabraliśmy do siebie zaufania.



*Macedonka.*



*Typy bułgarek z okolic Sofji.*

Należałyśmy do najstarszych (to łączy) wśród kilkunastu dziewcząt z Europy i obu Ameryk w „Instytucie” francuskim w Lozannie.

Nieśmiała zrazu, Bogdana rozgadała się. Lubiła opowiadać o swoim kraju, o Sofji, którą widziała w barwach tęczy, tak żywych, że i mnie stawały przed oczyma jaskrawo pałające złotem i blaskami świateł cerkwie, rozspiewane chóry, rozmodlone tłumy, procesje i pochody po zalanem południowym słońcem mieście. Coś bizantyjskiego było w tych opowieściach Bogdany, coś, co upaja i obezwładnia. Religijność jej była żarliwa, cała kolorowa i obrzędowa. Po raz pierwszy wtedy uderzył mnie pośrednio urok kultu wschodniego, którego nie znałam.

Aż dziwne wydawało mi się, że ta szara, cicha, zamknięta w sobie Bogdana miała tak płomienną wyobraźnię... Owe opowiadania stanowiły wątek naszych rekreacyj w pensjonacie i spacerów, podczas których chętnie trzymałyśmy się razem. Bogdanę ciągnęło do mnie jeszcze i to, że byłam Krakowianką i że nie wyśmiewałam jej kultu dla brata. A ten brat starszy, który był dla niej wyrocznią i autorytetem, studiował na uniwersytecie w Krakowie i wpoił Bogdanie swe sympatje dla Krakowa i uwielbienie dla kultury polskiej. Mogłam jej tedy opowiadać o mem ukochanym mieście.

Tak syciłyśmy przyczajoną w sercach nostalgię... „Brat Bogdany” stał się legendarną postacią wśród pensjonarek. Rychło podchwyciły to sceptyczne Francuzki, które wyśmiewały Bogdanę. Jeśli powiedziała: — „mój brat myśli o tem tak a tak” — to było bezapelacyjne. Swawolna Marie Thérèse nie mogła tego strawić bez ataku śmiechu.



Wieśniaczki bułgarskie z okolic Tyrnowa.

Spokojna, poprawna, zawsze wzorowa i pracowita Bogdana, lubiona przez nauczycielki, miała dużą mocną i gorącą. Jej patriotyzm był prostolinijny i organiczny. Jakże zawzięcie klóciła się „o politykę” z Margit, arystokratyczną Węgierką!

Pewnego dnia Bogdana sprowadziła do pensjonatu swoją kuzynkę.

#### MARA.

Mara była bardzo czarna, piękna o wybitnych rysach, namiętnych nozdrzach i błyszczących czarnych oczach i włosach. Bardzo mi się podobała. Czułam w niej obcą rasę: pociągała czemś nieokiełznanem w ruchach i mowie.

Mara zamieszkała wkrótce u nas. Była dzika i nietowarzyska. Poznałam ją bliżej dopiero, gdy dano mi ją na towarzyszkę pokoju.

Nieco jej się bałam z początku, ale interesowała mnie swą indywidualnością trochę tajemniczą, namiętną, zuchwałą.

Mara nie uznawała konwencjonalnych przesądów i lekceważyła sobie autorytety, co mi wówczas wysoce imponowało. Uwagi nauczycielek, dotyczące dobrego tonu, przyjmowała ironicznie milczeniem. Czułam, że moje starania, by być możliwie bez zarzutu, wydają się jej również śmieszne.

Z początku chłód panował między nami. Ale gdy zaczęłyśmy mówić o literaturze — jakby coś się zaiskrzyło, jakby promień słońca zabłysł wśród lodów.

Mara знала nieźle historję literatury polskiej i niejedno czytała. Ale jej wiedza i upodobania były różne od moich. Ona mówiła, jak o ideale, o Przybyszewskim, którego ja mało wówczas znałam (w Polsce spazm przybyszewszczyzny już był minął) i który mnie niezbyt pociągał.

— Wszyscy młodzi w Bułgarii — mówiła Mara — uwielbiamy Przyby-

szewskiego, zaczytujemy się jego książkami; wpływ ma olbrzymi, jest wzorem dla naszych pisarzy...

W tych słowach uwielbienia brzmiało uniesienie dusz wyzwalających się, śmiałych, a równocześnie ponurych, skłonnych do pesymizmu. (Młode Bałkany wrzały).

Taką była i Mara. Jej prawość i szczerłość nasycone były gorzkim buntem przeciw światu. Burzenie tradycyj pełne było rozczarowania. Bogdana martwiła się tym charakterem Mary, ta zaś wzruszała pogardliwie ramionami, gdy potulna kuzynka usiłowała ją „nawracać”.

Nasze dyskusje z Marą nigdy nie miały charakteru osobistego. Zawsze mówiło się o faktach i kwestjach. Dużo godzin minęło nam tak na przechadzkach: „Chailly, Cully, Sauvabellin, i zawsze „pod ręką” będące Ouchy. Wycieczki łódkami po jeziorze w Alpy Sabaudzkie...

Mogliśmy nicować literaturę lub przeinaczać źle urządzonego świat — ale nigdy nie było „dziewięcących zwierzeń”, nigdy cienia sentymentalizmu. Mocno, twardo, zasadniczo. Mara gardziła słabością i wstydziałaby się jakichś tęsknot i „innego zawracania głowy”.

Jeśli ją co zdradzało — to nie słowa. Mara kochała namiętnie muzykę. Nie studując wcale, grała na skrzypcach ze słuchu, dobrze i biegle. Całemi godzinami. Przyzwyczaiła się do mej obecności. Zapamiętywała się w muzyce zupełnie.

Pewnego wieczoru nie było jej na kolacji. Sądziłyśmy, że jest u znajomych w mieście. Dopiero, gdy w godzinę po kolacji powróciłam do siebie, zastałam Marę, wędrującą po pokoju, natchnioną, rozegraną w najlepsze. Nie słyszała dzwonka, zapomniała o godzinie, o głodzie. Grała...

Po kilku miesiącach Mara się wyprowadziła. Czuła się skrzepowana życiem pensjonatowem, a w Lozannie było bardzo łatwo o studenckie pokoje. Na pożegnanie napisała mi w pamiętniku parę słów ciemnych i pesymistycznych.

*Jadwiga Krawczyńska.*



Taneczny korowód.



Wieśniaczki z okolic Trenczyna.

## O CZESKIEJ KOBIECIE

Legenda o królowej Libuszy, o tej dzielnej i mądrej władczyni Czechów, jest zapewne poetycką trawestacją — matryarchatu. Bunt mężczyzn wydarł władzę kobiecie, przeciwstawił się jej sądom i rządowi, ale pieśń ludowa zostawiła pięknej monarchini jej urok, dała jej kobiecie wdzięk, uświęciła jej pamięć tragizmem ofiarności. „Ej, Wełtawo, czemu mącisz zdroje?“ — smuci się czuły poeta. I w komplikacji symbolów jednoczy się rzeka-macierz z Libuszą, tak jak u nas Wisła i Wanda stają się mistycznym synonimem bytu narodowego, walki z najeźdźcą, wody wieńczonej i — „wiernej rzeki“.

Gdy więc mamy tu skonstruować typ Czeszki dzisiejszej, nie tak łatwo nam wyrzucić z wyobraźni płowowłosą bajkową Libuszę. Miała zapewne jasne oczy, równe, bure brwi, pełne policzki, zuchwały nos i nieco uśmiechnięte, rozumne usta. Nie była tak wiotka i sentymentalna, jak Izolda, ożołomiona miłosnym naniem, ale kochała tak samo wiernie, choć świadomie. Nie, nie była bierna ani w czasach bajki, ani w czasach narodowej niewoli; jakże jej być bierną dziś, gdy nadszedł czas pracy i odbudowy.



Czeszki z okolic Mistrina.

Pogodna, jak niebo w letni dzień, to sliczne niebo, rozpięte nad urodzajną „Hanną“, ufala kobieta czeska swoim silnym ramionom i skrzętnym rękami. Jest przecież coś niewątpliwego w pracowitości miarowej i bezustannej, skoro na niej właśnie buduje się wytrwałość narodu.

Kobietę czeską — tę cichą i codzienną, miłą, łagodną i rządzoną — znamionuje przede wszystkim kultura pracy. A z pracą łączy się ogromne bogactwo etyki społecznej i świadomość własnej wartości. Gdy Czeszkę widzimy w jej domu, pojmujemy od razu, że w nim nie tylko rządzi, ale — pracuje. Nie spiera się, nie wadzi z trudem zajęć, bo w niej samej jest poczucie ładu, łatwość organizowania, niestrudzona żywotność i wszystko pokonywająca cierpliwość. Z takim zasobem wrodzonych zalet wyszła dzisiejsza kobieta czeska w świat pracy zawodowej i społecznej. Stąd też owa konkretność jej działania i rozumny namysł w dążeniach. Wyraźny, czysty kontur jest w każdej robocie kobiety czeskiej. A przytem wszystkim nie jest ośchła i ciężka, jak jej germańska sąsiadka, lecz posiada wdzięk słowianki, świetne walory towarzyskie, dow-



Wiśniaczki słowackie z okolic Turczyńskiego śró. Marcina.

cip i swobodę. O każdej Czeszce, którą poznałam, musiałam pomyśleć: — zdolna!

Kreślę tu zresztą tylko swoje wrażenia, zapewne nie pokrywające się całkowicie z rzeczywistością. Przyczem omyłka wyniknąć może już z samego choćby założenia, właśnie z charakterystyki „typu“. Trzeba przecież wyeliminować jakieś stałe cechy zewnętrzne i wewnętrzne. To znaczy, widzieć dość tęgą, masywną blondynkę, a przypomnieć sobie te wszystkie szatynki i brunetki, szczupłe, niczem paryżanki; widzieć cierpliwą i pogodną pracownicę, a przypomnieć sobie wytworną i nieco kapryśną damę. „Typ“ wyklucza bowiem różnorodność skali, nie jest gamą, a tylko akordem, który musi pobrzmiwać czysto.

Taki idealny konterfekt typu nie jest jednak, mimo wszystko — pochlebiony. Przeciwnie: jego doskonałość jest niedoskonała. Brak mu blasków i cieni, brak mu subtelności szczegółów i zindywidualizowanej wyłączności. Określając typ, dajemy mimo woli okaz, nadający się do muzeum krajoznawczego, a nie żywego człowieka.

W gościnnych domach czeskich, na zebraniach towarzyskich nie szukałam zresztą odmiennego typu kobiety innej narodowości, ale interesowała mnie wspólność kobiecych spraw, wszędzie tak samo ważnych, trudnych i narazie jeszcze niepokonalnych.

Mam jednak wrażenie, że Czeszka należy do tej rodziny kobiet, które dochodzą do zamierzonego celu wytrwałością, spokojem i taktem. Temperament swój poddaje dyscyplinie, zmienia go poprostu w rozumowaną metodę. Jest to cecha, znamionująca zresztą cały naród czeski, a nabyta w ciężkich warunkach wielowiekowej niewoli. W tych warunkach właśnie kształtował się pozytywizm czeski, który wyszedł nie z teorii, ale z jedynie rozumnego ujęcia rzeczywistości. Teraz, w dniach wolności, jest to jedna z głównych zalet narodu czeskiego.

Może zbyt wiele mówiłam tu o Czeszce, jako pracownicy, działaczce, obywatelce, omijając wszystko, co by określiło dziedziny życia uczuciowego czeskiej kobiety. Aby sięgać do intymności uczuć, aby w krótkich słowach nadać im jedynie formę szablonu, nie wydaje mi się wskazane. Niewątpliwie coś z rysów, wymienionych w ogólnej charakterystyce, musi też być w psychologii uczuć, należy się jednak wystrzegać schematu, gdy samo życie stwarza niezliczone warjanty. A zresztą — zmienia się, rozszerza nasz świat pracy i zainteresowań, zmienia się wraz z tem psychika kobiety. Zostaje tylko zawsze konserwatywne, bodajże w każdej szerokości geograficznej takie samo — serce kobiety.

Herminja Nagleroma.



Typowa czeska „divucha“.

## JUGOSŁOWIANKI



Chorwaci z okolic Zagrzebia.

## Hafciarka.

Trzymam w ręku niebylejaki klejnot: mały czepeczek z cieniutkiego, ręcznie tkanego płótna, pokryty cały ciężkim, kunsztownym wyszyciem. Barwy czarna, czerwona, niebieska i żółta zlewają się we wzory niesłychanie urocze prostotą i wykwintnym wdziękiem.

Jakaż to z wrózek nieśmiertelnych, w przystępie ziemskiej tęsknoty, nad tem dziwem trudziła swe różane palce, przezroczyście, jak jutrzniانا mgła?

Któraż to z wypieszczonych śmiertelnych księżniczek malowała barwnymi smużkami swoją strzelistą tęsknotą do zaziemskich światów?

Patrzę uważnie, przyglądam się pilnie i widzę, jak niefrasobliwe, polotnie wirujące barwami promyki rozszczepiają się nagle, rwą, dzielą na dziesiątki, na setki, na tysiące mozolnych, trudnych, pracowitych ściegów. Stąd-dotąd, stąd-dotąd, przesuwawała się igła... tu i tu, wbijały ją niestrudzone, zawzięte, uparte palce.

Drobne, drobniutkie, drobnusieńkie krzyżyczki czarne, czerwone, niebieskie, żółte, jak malutkie, posłuszne owadki, mrówczym ciągiem wędrują na równiutkich, mikroskopijnych nóżkach z góry na dół, z dołu do góry, wszere, wpoprzek.

Któż je zaklina, kto je zamawia, kto je czaruje w tem karnem, zmyslnem posłuszeństwie?

Nie wróżka ze snu, nie księżniczka z bajki — dziewczucha od kóz pasienia.

Pośrodku ruchliwego stadka rogatych, brodatych kudłaczy siedzi skupiona, nad podziw rosła, jędrna, opalona, prawa dziedziczka i niewolnica kamiennej gleby, porosłej szczecią szarej, kolczastej roślinności, po czubki skał zanurzonej w drgającym, falującym południowym żarze. Czarnym trudem, czerwoną miłością, niebieską nadzieją i żółtem, jak słoneczny blask, weselem, wyszywa skalna dziewczyna swój kamienisty i słoneczny los kobiecy.

## Matka.

Na imię miała Katica.

Nie mogła mieć inaczej. Pyszne, wijące się pierścienie czarnych włosów, mające na prześwietlonych zgięciach zgęszczoną barwę czerwonego wina... Oczy



Wieśniaczki jugosłowiańskie z okolic Ohridskiego Jeziora.

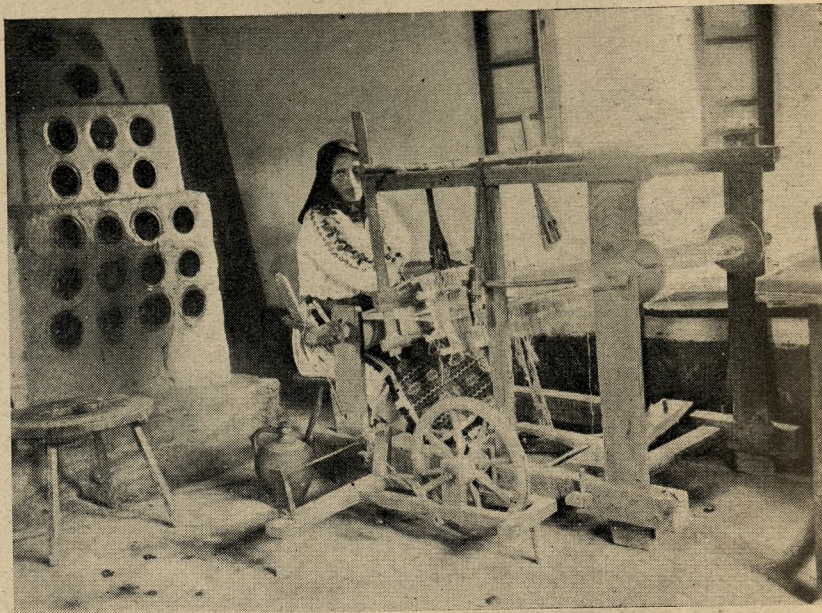
wielkie, połyskliwe, a nieruchome w gąszczu rzęs... Wargi twarde i małe na równych, białych zębach... Szyja toczona, pełne piersi i biodra, strzeliste nogi o dużych, mocnych stopach.

Dziecko brązowe i pulchne z jednej strony fartucha, dziecko ciemne, jak agat, z drugiej strony fartucha, dziecko czarne, jak żuczek, w ramionach.

Ilekróć ją sobie przypomnę, widzę ją, jak stoi taka właśnie na progu ciemnego, kamiennego domu, otoczonego wałem z kamieni i płotem z ciernia. Patrzy w dolinę. Czeka powrotu męża, pięknego, mądrego mężczyzny, Stepana, który z braćmi swoimi i z jej braćmi obrabia najpiękniejszą winnicę — ich wspólne dobro. Dzieci, znużone czekaniem, puszczają fartuch matczyzny i drepczą zgodnie ku cierniowemu płotowi, ku drodze do winnic i miasta.

Katica z młodszym dzieckiem w ramionach wdzie za niemi i ruchem mocnej ręki rozgina ostre ciernie:

— Nie trzeba, aby dzieci miały zaporę na drodze.



*Wnętrze chaty.*

### *Prządki.*

Siedziały we dwie, grzejąc w upalnym słońcu stare ciała, zimne od krwi stygnącej. Skóra ich była pomarszczona i spękana, jak kora na oliwkach. Włosy siwe i twarde, jak szerść, zwisały im w zlepionych kosmykach na zakłęśle skronie.

Poruszały bezgłośnie bezzębnymi wargami i przędły.

Jedna ze swej kądzieli wysnuwa nić białą. Druga ze swej kądzieli wysnuwa nić czarną. Pracują bez ustanku.

Na niekobiecych już ich twarzach leży wielki, łagodny spokój — blask ludzkiego szczęścia — spełnienie.

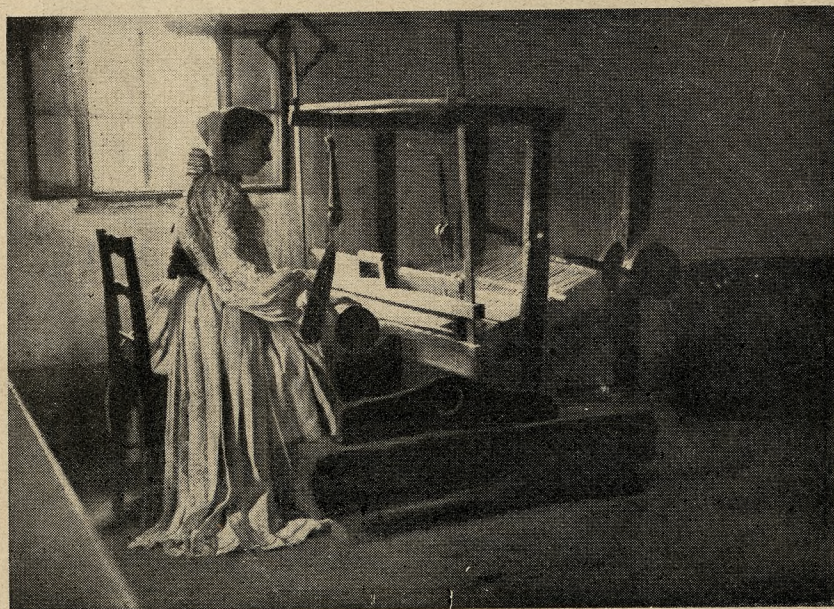
— Słońce zachodzi — powiedziała jedna.

— Skończył się dzień — powiedziała druga.

Odłożyły na bok czarną i białą kądziel. Zdrzemnęły się w mroku.

Czarne i białe kozy podeszły do nich blisko i przyglądały się im szeroko otwartymi, bursztynowymi oczami.

*Ewa Szelburg-Zarembina.*



*Przy tkackim warsztacie.*

## ROSJANKA

Jakże trudno pomyśleć realnie o kobiecie rosyjskiej! Typ jej, jak żaden chyba inny typ narodowy, był opisany na tysiące sposobów, zanalizowany i wreszcie wciśnięty w szablon, z którego wydobyć żywego człowieka z krwi i kości jest trudem nielada.

Przy pierwszej myśli o rosjance, stają przed oczami te wszystkie Tanie, Wiery, Liuboczki, z które-

mi zapoznaliśmy się w odległych czasach, przy studjowaniu rosyjskiej literatury, a których wspomnienie dziwnie płacze się z postaciami żywych Tani, Wier i Liuboczek, przewijających się potem przez nasze życie. Wspomnienie jest miłe, bo zarówno „kapitanskaja doczka“, jak Tania z „Oniegina“, zarówno wiejska dziewczyna z „Zapisek Myśliwego“ Turgieniewa, jak skomplikowana Anna Karenina Tołstoja — wszystkie



one chwytają za serce jakimś nieuchwytnym wdziękiem i czarem.

To pierwsze nasze zetknięcie się z duszą rosjanki, aczkolwiek bardzo „literackie“ i mało bezpośrednie, urobi naszą w stosunku do nich opinię w jak najlepszym kierunku. Później, po wyjściu poza ramy gimnazjalnych teoryj, gdy poznamy rosjanki rzeczywiste, a nie książkowe, już a priori podejmiemy do nich życzliwie, szukając na ich świeżych twarzyczkach i w tryskających inteligencją oczach, znamion tego uroku, jaki rzuciły na nas ich literackie sobowtóry. I nie zawiedziemy się.

Kobieta rosyjska ma rzeczywiście niesłychany wdzięk i czar, choć nie są to jej jedyne walory. Beletrystyka Zachodu, budując duszę rosjanki jedynie tylko z motywów cygańskich romansów, krzywdzi ją niepomnie, gdyż zapomina o tem, że po wielekroć przez ciąg stuleci zdawała ona egzamin ze swych możliwości intelektualnych, moralnych i wogóle ze swego pierwszorzędного człowieczeństwa.

Najbardziej wyrazisty, a jednocześnie najbardziej prymitywny typ rosjanki — chłopka rosyjska — nie ma przecież pojęcia o cygańskich romansach, a jest doskonałą przedstawicielką kobiety rosyjskiej, ze wszystkimi jej wadami i zaletami.

Zalety jej i wady dostały się do wyższych sfer, drogą tradycyjnych metod wychowania, której uosobieniem będzie niedawno dopiero zanikły w Rosji typ „niani“. Ta wychowawczyni wielu pokoleń inteligencji rosyjskiej była niby murem ochronnym, w którego cieniu chowała się Tania, Wiera, czy Liuboczka, aż do chwili, gdy jakiś Instytut dla „Błagorodnych Diewic“ nie zatrzaskał za nią swych ciężkich drzwi. Ale i wówczas jeszcze wpływ „niani“ był przemożny, bo już w zaraniu ukształtował duszę rosyjskiej „baryszni“ na zupełnie inną modłę, niż kształtowano dusze jej rówieśniczek z Francji, Anglii, Polski, czy Niemiec.

Niania nie miała żadnego uczonego systemu wychowawczego, żadnych metod: opowiadała proste w swym morale bajki, uczyła żegnać się zawitym rosyjskim krzyżem i wpajała swojej „baryszni“ nieskomplikowane poglądy na świat i ludzi. Później, gdy „barysznia“, jako „instytutka“ lub gimnazystka w brązowym, pod szyję zapiętym mundurku, przyjedzie na wakacje do domu — niania wysłucha jej pierwszych zwierzeń miłosnych i, jak nikt inny, przejąc się niemi potrafi.

Dzięki wpływowi niani, kobieta rosyjska zdobędzie walory psychiczne, które z biegiem lat staną się istotą jej typu. Tylko, że smutek i zaduma chłopki rosyjskiej przedzierzgnie się na bardziej skomplikowanym podłożu w romantykę; zaradność życiowa i pracowitość — w dzielność charakteru, a jej prostolinijność — w typową rosyjską „pryncypialność“, która każe wszystko od podstaw ujmować i od podstaw niweczyć. Pozostała niezmienna prawość i bezpośredniość w obcowaniu z ludźmi, która, oczywiście, na

wyższym stopniu kultury przechodziła różne fazy rozwoju.

Oczywiście, typ rosjanki, jak każdy typ narodowy, nie może być jednolity. Z jednej strony mamy kobietkę miękka, łagodną, zagubioną bez reszty w zakamarkach rodzinnego życia; typ dobrej żony i matki, która przecież napewno dzisiejszy spokój serca okupiła okresem gorącej namiętności. Ale to już minęło. Dziś spokojnie i z wdziękiem króluje przy rodzinnym stole, dając upust szerokiej rosyjskiej gościnności, okraszzonej gęźbą tradycyjnego samowara. „Czajem s warenjem“ i szczerem sercem ugości rosyjska kobieta każdego obcego przybysza, i każdy obcy przybysz czuć się będzie dobrze w jej domu, w atmosferze przyjaznej życzliwości człowieka dla człowieka.

To poszanowanie człowieka i jego przekonań tłumaczy nam tak częsty w Rosji przedwojennej fakt, że pod jednym dachem z tą typową kapłanką domowego ogniska żyła kobieta-społecznica, kobieta-spiskowiczka. Między temi dwoma typami kobiet łatwo odnaleźć nic wspólną: będzie to właściwa rosjankom uczuciowość, która sprawia, że umiłowanie idei może się stać dla pewnego typu tak samo celem życia, jak dla drugiego umiłowanie domu, dzieci, czy mężczyzny.

Żaden kraj chyba nie przeżywał tylu spisków, buntów i tajnych stowarzyszeń, co Rosja, i w żadnym kraju kobieta nie odegrała w nich takiej roli.

Może kiedyś w Rosji, na którym z wielkich placów Petersburga, czy Moskwy, stanie pomnik młodej dziewczyny o krótko przystrzyżonych włosach, w okularach, z książką w rękę: to kursistka lub seminarzystka, nieznany żołnierz nieznanych walk o wolność ludów, bohaterka Es-erów, Dekabrystów, czy innej jakiej tajemniczej partji; społeczniczka, która padła od bomby, lub kuli, na rogu pobliskiej ulicy, pod murem monasteru, czy w mrokach zakonspirowanej drukarni.

Romantyzm dusz, żądza przygody, pragnienie wolności wyprowadziły słodką Tanię, Liuboczkę, czy Wierę z wytwornych salonów, z cichego dworku małego miasteczka, z białej plebanji, przytulonej do starej wiejskiej cerkiewki, na szerokie areny życia, i każały im ginąć za ideę. Nie wchodzimy w to, czy idea była zła, czy dobra — chodzi o możliwości psychiczne rosjanki, które pozwoliły jej zapamiętać się w czynie, tak dalekim od tak zwanej kobiecej niezaradności.

Niezaradność jest wogóle dla rosjanki czemś zupełnie obcym, bo nawet typ kobiety „rodzinnej“ jest uosobieniem energii życiowej. Energja ta — to jeden z największych plusów kobiety rosyjskiej w dobie obecnej, a mianowicie rosjanki-emigrantki. Dawne „barysznie“, wypieszczone „doczki“ generałów, wytworne gubernatorowe, ba! rozbawione „oficersze“, pożegnawszy się z poprzednimi rozkoszami, jednym, gwałtownym półobrotem zwróciły się ku konieczności.

ściom chwili bieżącej i... chwyciły życie za kark. Nie ma pracy, któraby była dla nich zbyt demokratyczną; niema trudu, który byłby zbyt ciężki, jeżeli chodzi o zapewnienie bytu sobie i swoim najbliższym. Nie praca je poniża, ale one podnoszą pracę do godności bohaterstwa, te wytworne, pomimo niewytwornego stroju, panie, stojące za ladą sklepową, za bufetem na

stacji, ba! sprzedające papierosy i zapalki na rogach ulic.

Kto wie, czy życie kobiet rosyjskich na emigracji nie jest jednym z najcięższych egzaminów z wartości człowieczych, jakie wypadło zdawać rosjance w ciągu długich wieków? I trzeba przyznać, że zdają go — celująco.

Zofja Miszewska.

## KOBIETY DLA SIEBIE

Kiedy przed niespełna dwoma laty rozpoczęła się w Płocku, z inicjatywy p. Marji Kryńskiej-Prażmowskiej, akcja utworzenia ognisk dla kobiet samotnych, głównym celem działalności organizowanego zrzeszenia miało być dostarczenie własnego schronienia osobom starszym, które wyszły już z czynnego życia, a z różnych względów nie chcą, lub nie mogą mieszkać z dziećmi, czy z rodziną.

Praktyczności i pilnej potrzeby takich ognisk nie trzeba dowodzić. Każdy wie, jak często w dzisiejszych warunkach niemożliwy staje się starszej kobiecie pobyt u dzieci, nie mówiąc już o dalszych krewnych. Ciasnota mieszkań, jeśli nie zupełny ich brak, inne tempo życia, praca zawodowa wszystkich dorosłych członków rodziny nie sprzyja bynajmniej osobie, która chciałaby na starsze lata odpocząć w spokoju, z uczuciem, że jest niezależna, że, w razie choroby czy niedołęstwa, znajdzie właściwą, fachową opiekę.

A cóż mówić o tych, które nie mają dzieci i bliższej rodziny, i skazane są na zupełne osamotnienie?!

To też inicjatywa p. Prażmowskiej obudziła szerokie echa. Za każdą, w piśmie naszym, wzmianką o postępkach organizacji, nadchodziły liczne listy, zapytania, ofiarowanie współpracy i gotowość wpłacania już składek na fundusz instytucji. Z różnych stron odzywały się też projekty zużytkowania, lub uzyskania lokali w rozmaitych miejscowościach kraju, aby wszędzie organizować odpowiednie ogniska. Było to zresztą odrazu przewidziane: stowarzyszenie ognisk dla kobiet ma mieć w całym kraju filje, połączone wspólną działalnością z centralą w Płocku.

Obecnie sprawa wchodzi już w stadjum realizacji; opracowano statut ognisk, który w najbliższych dniach będzie zatwierdzony, a organizatorki uzyskały dostojny protektorat pani Prezydentowej Mościckiej. Jednocześnie jednak z ostatecznym wykończeniem statutu, rozszerzono zakres działalności instytucji: Stowarzyszenie ognisk dla kobiet zamierza tworzyć ogniska nietylko dla staruszek-emerytek, ale wogóle dla kobiet samotnych.

Jest to zmiana bardzo poważna, przekształcająca emerytalne działanie instytucji na cały kompleks zadań innych.

Ogniska dla kobiet nietylko emerytek, ale i pracujących młodszych, samotnych, i dla takich, które są chwilowo bez pracy, i dla tych, które potrzebują odpoczynku, lub kuracji.

— Czy nie za szeroki program, czy dadzą panie radę? zapytuję p. Prażmowskiej, która bywając obecnie często w sprawie ognisk w Warszawie, odwiedziła naszą redakcję, aby poinformować nas szczegółowo o postępkach organizacji, o swoich staraniach i nadziejach.

— Cóż, kiedy życie samo stawia nam na każ-

dym kroku te różnorodne wymagania? Chcemy dać to, co jest w danej chwili i w danym miejscu potrzebne. W naszym Płocku, na przykład, mamy w tej chwili kandydatki do ogniska najrozmaitszych kategorii. Są w ich liczbie kobiety starsze, są młodsze, które mają pracę, a nie mogą za przystępną cenę znaleźć pomieszczenia; są młode dziewczęta bez opieki, a dla wszystkich sprawa znalezienia „ogniska“, w którym można by zamieszkać spokojnie, przyzwoicie i niedrogo, jest kwestją bytu.

— A jak panie zamierzają unormować te opłaty? Z chwilą, gdy chodziłoby tylko o zapewnienie sobie schroniska na starość, sprawa byłaby łatwiejsza: wpłacanie pewnych składek, przez szereg lat; ale tak, obmyśleć trzeba inaczej.

— To wcale nie jest trudniej, uśmiecha się pani Prażmowska. Chcemy ustanowić różne rodzaje wkładów. Osoby starsze, które chcą natychmiast korzystać z mieszkania w ognisku, wpłacają mają 5 tysięcy złotych. Ta suma zapewni im mieszkanie, utrzymanie i opiekę do końca życia.

Od 55-ciu lat wpłaca się trzy tysiące, z prawem korzystania z ogniska po 50-ym roku życia, liczymy bowiem, że trzytysięczny wkład będzie przez 15 lat procentował. Dla osób zupełnie młodych wkład jest minimalny. Ograniczeń wieku nie stawiamy żadnych; tak, jak to już oddawna robi Narodowy Związek Polek w Ameryce, będziemy przyjmowali zapisy matek, które chciałyby zapisać nieletnie córki, wtedy będą to drobne, miesięczne opłaty. Chcemy nadto, przede wszystkim otworzyć pierwszy lokal w Płocku i uruchomić nasz pensjonat. Na małą narazie skalę urządzimy tam oddziały dla rozmaitego rodzaju pensjonarek, starszych i młodszych, emerytek i pracujących. Poza tem staramy się o uzyskanie własnego terenu, który stanowiłby już ośrodek i centralę naszej instytucji.

— A dlaczego w Płocku?

— Płock, jeżeli chodzi, o mieszkanie dla osób starszych, jest miastem wyjątkowo dogodnym: ładne położenie, cisza, ogrody, kościoły, sporo kulturalnych i spokojnych rozrywek; ale nie mamy zamiaru ograniczać się do Płocka, dużo jest podobnych miejscowości w Polsce. Wszędzie tam mogą powstawać filje ognisk, które będą miały swoje zarządy, pozostające w ściślejszej łączności z centralą, wpłacając zarządowi głównemu pewien procent od swych funduszy, wzajemian za co centrala będzie je subwencjonowała w razie potrzeby.

— Czy pani nie uważa, że kwotę np. pięciu tysięcy zł. bardzo niewiele osób może dziś wpłacić?

— Może niezbyt wiele, ale napewno są; myślę nawet, że, pomimo „ciężkich“ czasów, łatwiej jest dziś o tę sumę, niż o zapewnienie sobie za nią dobrego pomieszczenia. W Płocku znam takie osoby. Jedna np.



P. Marja Kryńska-Prażmowska.

staruszka, kobieta bardzo kulturalna, samiuteńka, ma swój fundusz, może się utrzymać; ale cóż: traci wzrok. Wskutek tego jest na całkowitej opiece służącej. Pożal się, Boże, jak wygląda jej mieszkanko i ta opieka! I takich staruszek jest wiele, a z drugiej strony są i kobiety zupełnie młode, pracujące, a tułające się gdzieś, nieraz w fatalnych środowiskach; tym chcemy również dać przyzwoite pomieszczenie i prawdziwe „ognisko“, gdzie mogłyby mieć życie towarzyskie i kulturalną rozrywkę. Skromne opłaty od pensjonarek, wkłady i składki miesięczne członkiń ognisk tworzyć będą nasze fundusze. Naturalnie, nie zarzekamy się darowizn i pomocy społecznej. Tak, cała akcja wygląda na dobrze rozplanowaną. Jest ona ponadto ważna podwójnie dla prowincji. Z jednej strony wiele miast prowincjonalnych nadaje się na miejsce zamieszkania dla osób starszych, pragnących większego spokoju; z drugiej, w miastach prowincjonalnych właśnie jest większy, niż w stolicy, brak takich pomieszczeń. Nie znaczy to wcale, aby ich w Warszawie, Krakowie, Lwowie i t. p. było za wiele, przeciwnie: zawsze za mało; ale, bądź co bądź, organizują je niektóre stowarzyszenia, jak np. schronisko dla nauczycielek w Zielonce, i inne, czego wiele miast prowincjonalnych mniejszych zupełnie jest pozbawione.

Wszystkie kobiety powinny wziąć do serca sprawę własnych ognisk. Jak widzimy, można w starszym wieku nie być pozbawioną funduszu, a pomimo tego być pozbawioną opieki. Wszystkie kobiety samotne wiedzą również doskonale, że można mieć pracę, a nie mieć spokojnego, kulturalnego pomieszczenia, do którego dążyć trzeba wszelkimi siłami.

Kobiety dotychczas dają bardzo wiele pracy, czasu, wysiłku dla drugih, poświęcając się różnym gałęziom pracy społecznej. Trzeba koniecznie część tego czasu i wysiłku poświęcić i dla siebie. Wszędzie już zrzeszone, pracujące kobiety za podstawę życia uznały: zapewnienie sobie ogniska na starsze lata, z jednoczesnym stworzeniem go i w okresie żywotnej pracującej młodości i wieku średniego. Wszędzie buduje się domy własne i zakłada ogniska. U nas robi się w tym kierunku bardzo jeszcze mało. Musimy tej pracy dla siebie nadać żywsze tempo. Każda z nas, mając zapewnione kulturalne pomieszczenie i spokojnie myśląc o starości, tem wydatniej pracować będzie dla siebie i drugih.

N. J.

## Z KSIĄŻEK

Marjan Zdziechowski: „Napoleon III. Szkice z dziejów jego życia i pracy“. Kraków 1931. Nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej.

Są pewne atawizmy, tkwiące w podświadomości rasy, a budzące się nieraz z irracjonalną siłą instynktu w momentach zgoła nieprzewidywanych.

Takim atawizmem jest wygasły napozór kult idei napoleońskiej wśród czystej krwi sarmatów.

W ostatnich czasach dał mu entuzjastyczny wyraz Marjan Zdziechowski w swojej niesłychanie ciekawej książce p. t. „Napoleon III“.

Możnaby ją nazwać raczej rehabilitacją Napoleona III. Bowiem ten dziedzic wielkiego imienia i zawrotnych tradycji władzy, pomimo niezwyklego czaru, jaki wywierał na osoby, które się z nim bezpośrednio stykały, nie miał szczęścia ani to współczesnych, ani do potomnych.

Był przecież ostatnim romantykiem na tronie, a tłum koczy się zawsze przed pierwszymi, nie przed ostatnimi. Mierzył siły na zamiary nie miarą geniuszu, ale miarą idei i to się na nim zemściło. Był marzycielem w polityce — tego nie wolno; miał chorą wolę — to go dobiło. Dla siebie był człowiekiem tragicznym, dla Francji — fatalnym.

Szybko, zbyt szybko puszczono w niepamięć jego wzniosłą ideologię wolności ludów; krwawymi zgłoskami wypalił ją Sedan. Francja mu go zapomnieć i przebaczyć nie mogła. Nawet wówczas, gdy wzięła odwet na zwycięzcach. Nowoczesny kult siły ignoruje tych, którym się nie udało, nawet genialnych klęskowców.

Toteż nie z Francji, ale z Polski bije potężny głębokiem przekonaniem rehabilitacyjny głos historii. Głos uczonego, którego dzieciństwo opromienione było legendą napoleońską, a wiek sędziwy spleca dług entuzjazmu, zaciągnięty w młodości u gwiazd potęgi i sławy, które pogasły.

Bez względu na naukową ścisłość wywodów prof. Zdziechowskiego, których ocena nie do nas należy, jego książka o Napoleonie ma tę nieocenioną wprost wartość dla polskiego czytelnika, że z jej kart przemawia żywy człowiek i przeszłość żywa. Zabalsamowane w dokumentach postacie stają się znów żywymi organizmami; pulsuje tętno chwili, kipią namiętności, ścierają się potęgi przeciwne, warzy się w kotle historii strawa przyszłych pokoleń.

Wszystkie problemy, o których rozwiązanie kusił się Napoleon III, są poddane wszechstronnemu prześwietleniu i gruntownej rewizji. Młodość pełna polotu, pierwsze lata cesarstwa, sprawa włoska, sprawa polska, sprawa meksykańska (ze specjalnym uwzględnieniem tragicznych losów cesarza Maksymiljana), Sedan, wygnanie, wreszcie wrzeszczący wizerunek poległego na wojnie z Zulusami Napoleona IV — oto treść książki, ale nie jej istota. Rdzeniem jej jest głęboka wiara w genialną intuicję Napoleona III, tego marzyciela w koronie, któremu autor przypisuje dar niemal proroczy.

„Widział on to, czego nikt wówczas nie widział: przyszły zwycięski pochód dolara, wobec którego nie ostoi się mała Europa i nastąpi wszechświatowa hegemonja Ameryki Północnej wraz z jej bezduszną cywilizacją ilości, zapożyczając jakość“.

„Upadek Napoleona III był upadkiem i śmiercią idealizmu w polityce“.

Książka Zdziechowskiego z zalewu barbarji wynurza się, jak samotny pomnik tego idealizmu, wskazujący jedyne wyjście z chaosu: „drogę polityki chrześcijańskiej, tej jedynej realnej polityki — jak powiedział Fr. W. Förster — o którą woła ginący świat“.

S. P. O.

## Z TEATRÓW

## TEATR POLSKI.

„Marjeta“ czyli „Jak się pisze historję“ — komedia muzyczna w 4 aktach Saszy Guitry'ego. Muzyka Oskara Straussa. Przekład i opracowanie Marjana Hemara. Reżyserja Karola Borowskiiego i Marjana Hemara.

Są ludzie, którzy dobrze się czują tylko w atmosferze parodji. Zdaje się, że do tego typu należy i Sasza Guitry.

Parodja — to jednak broń obosieczna. Lubi ona się mścić na parodjującym w chwili, gdy ten się tego najmniej spodziewa, a mianowicie, gdy chce przemówić na serjo... Powtarza się historja kłamliwego owczarza z bajki: nikt mu nie chciał wierzyć, gdy jego stado naprawdę napadły wilki.

Słusznie zauważył jeden z krytyków, że „Marjeta“ jest poprostu zwykłym wodewilem, ale z pretensjami do reform, czy rewelacji teatralnych.

Tematem wodewilu jest romans księcia Ludwika Napoleona, późniejszego Napoleona III, z prowincjonalną aktoreczką Marjetą Fleury, a właściwie dwa momenty, które w każdym romansie są najciekawsze: świt i zmierzch.

Ale sama ta miłosa, pełna wdzięku anegdota pozbawiona byłaby point'e'y literackiej, o którą ambitnemu autorowi najbardziej chodziło. Nie dość jest być twórcą wodewilu: trzeba być reformatorem. W tym celu doczepia się do właściwego bochna sztuki dwie przylepki: akt pierwszy — parodję konwencjonalnej opery, i akt czwarty — dowcip bulwarowy na temat „Jak się pisze historję“. Mamy tu zatem trzy wątki teatralne, z których żaden nie posiada dość siły, aby stać się istotnym pionem sztuki.

Tym kręgosłupem, jednoczącym poszczególne jej epizody i podtrzymującym słabnące często zainteresowanie widza, jest rola Marjety, napisana dla aktorki, która jest jednocześnie śpiewaczką i ma zdolności transformistyczne: w pierwszym akcie ukostjumowana na operowego pazia, w drugim jest budzącą się do miłości dziewczyną, w trzecim tkliwą kochanką, w czwartym stuletnią staruszką.

W polskim opracowaniu Hemara rola ta leży na Modzelewskiej, jak doskonale dopasowana suknia. Nic dziwnego: przyszła wprawdzie do nas z marką „made in Paris“, ale przykrawano ją w Warszawie specjalnie dla Modzelewskiej. Tym razem naprawdę człowiek zdoła suknię, nie suknia człowieka. Pod czarem artystki przebacza się wiele sztuce. Przemila łobuzerka pazia, rzewność piosenek, tkliwość księżęcej kochanki, filuterny wdzięk stuletniej staruszki — ratują sytuację, artystycznie nieraz beznadziejną.

Pozostali artyści, z Grabowskim na czele, błądzą po manowcach ordynarnej groteski, graniczącej z błazeństwem. Nie wiadomo, kto tu więcej zawinił, autor, tłumacz, reżyser, czy aktor, nieświadoma, czy celową ignorancją w kreśleniu postaci księcia Ludwika Napoleona, ale prócz sparodjowanej maski nie pozostało na scenie nic z tego człowieka, któremu nawet wrogowie przyznawali wybitną inteligencję, wytworność obejścia i niesłychany czar osobisty.

Niedbalstwo historyczne posunięto do tego stopnia, że Napoleona III zrobiono synem siostry Napoleona I, czyli jego siostrzeńcem, choć wystarczyłoby przecież zajrzeć do „małego“ Larousse'a, żeby się dowiedzieć, że Napoleon III był synem Ludwika Bonaparte, brata Napoleona I i Hortensji Beauharnais, pasierbicy tegoż Napoleona I. Król Westfalji Hieronim jest dla księcia Ludwika Napoleona stryjcem, a nie wujem, jak to słyszemy w „Marjecie“. Fakt, nie mniej historyczny, że Zagłoba do Rocha Kowalskiego powiedział kiedyś: „Mów mi wuju!“ — w danym wypadku nie ma znaczenia obowiązującego.

Wziąwszy jeszcze pod uwagę takie kwiatki językowe, jak: „Byłem na tej sztuce trzy razy pod rząd“ (w ustach Napoleona III), albo „Trzy lata już są“ (w piosence Marjety w trzecim akcie), mamy prawo przewidywać, że za lat kilkanaście na scenie Teatru Polskiego ukaże się sztuka p. t. „Hemar

i Napoleon III“ czyli „Historja na wygnaniu“. Powodzenie zapewnione, bo parodja — to kij o dwu końcach. S. P. O.

## TEATR WIELKI.

Trzy balety: „Faun i Psyche“ Piotra Rytla, „Świtezianka“ Eugenjusza Morawskiego, „Na kwaterze“ Moniuszki.

„Faun i Psyche“ Rytla jest kompozycją estradową, którą niewiadomo poco zeszcpecono nienaturalną baletową interpretacją. Był to eksperyment nawskroś chybiony, a przedewszystkiem amuzyczny.

Balecik Moniuszki „Na kwaterze“ stanowczo nie ma szczęścia. Kiedy go wystawiano w 1868 roku, nie można było myśleć o wprowadzeniu na scenę wojska polskiego — dano zamiast niego jakichś konwencjonalnych żuawów. Obecnie zobaczyliśmy wprawdzie muzealne mundury, ale całe opracowanie sceniczne, baletowe i kostjumowe trąciło myszką stęchłej maniery i stereotypowego szablonu.

Ten sam nieszczęsny szablon baletowy zastosowano i do „Świtezianki“ Morawskiego. Raził on tembardziej, że pod względem muzycznym „Świtezianka“ jest na naszej scenie operowej poprostu rewelacją. Już w pierwszych pasażach i arpedżjach krótkiej uwertury wyczuwa się malarskość tej przedziwnej muzyki. Są to jakby szalone pociągnięcia pendzlem, błyskawice, wydobywające z mroku i chaosu zarys namiętności. Fakt, że Morawski najprzód malował obrazy, zanim stał się kompozytorem muzycznym, ma tu pierwszorzędną znaczenie. Wciela on psychicznie ideał wagnerowskiej symbiozy wszystkich sztuk w operze nowoczesnej: muzyki, plastyki i słowa. W „Świteziance“ brak tylko tego ostatniego czynnika, ale wymowa plastycznej muzyki jest tak silna, że słowo staje się niepotrzebne.

Zywiolowość, opanowana i należycie wykorzystana przez kulturę — oto rdzeń muzyki Morawskiego. Nowoczesność jego ekspresji daleka jest od wszelkich reminiscencyj, a śmiałość w posługiwaniu się efektami technicznymi, np. perkusją, nie ma w sobie nic z pospolitości jazz-bandu.

„Świtezianka“ dała nam poznać indywidualność oryginalną, ciekawą, niezależną i bujną. S. P. O.



Marja Modzelewska w roli stuletniej babuni.



II Miejska Szkoła Rękodzielnicza. — Uczennice działu fryzjerskiego.

## WYSTAWY ŻEŃSKICH SZKÓŁ ZAWODOWYCH W WARSZAWIE

W związku z tygodniem propagandy szkoły zawodowej odbyły się w Warszawie następujące wystawy i pokazy.

Dn. 22 maja w lokalu Szkoły Przemysłowo Handlowej (Górnośląska 51) jednodniowy pokaz rysunków (metodyka, projekty uczennic, prace wykonane). Pokaz ten był jeszcze jednym dowodem, że kierownictwo artystyczne szkół idzie po właściwej linii i osiąga znakomite rezultaty.

Tylko nieżyciowe eksperymenty p. Strzemińskiego nie są chyba na miejscu w szkole zawodowej, której zadaniem jest przygotowanie do realnej, fachowej pracy.

W dniach 23 — 24 w Państwowym Seminarjum Nauczycielek Gospodarstwa odbyła się wystawa, pokazy gotowania, zmywania i sprzątniania. Wreszcie sprzedaż znakomitych kulinarnych wyrobów uczennic. Doskonale zorganizowana wystawa zaznajamiała zwiedzających z rozplanowaniem i metodyką poszczególnych przedmiotów, zawierała wiele bardzo ciekawych tablic, poglądowo ilustrujących wykładane w szkole wiadomości.

Poszczególne działy wystawy: metodyka gotowania (przykład — lekcja o mleku), technika ciast, księgowość (na użytek rodziny i większych jednostek gospodarczych), towaroznawstwo (bardzo ciekawe i systematycznie opracowane zbiory próbek i kosztorysy), szycie na użytek domowy, aprowizacja (urządzenie i kontrola spiżarni), analiza produktów, obmyślanie jadłospisów dla chorych i zdrowych, urządzenie kuchni.

Bardzo ciekawie przedstawiał się dział nauki obywatelskiej i samorząd szkolny, prowadzący prócz pracy na terenie szkoły jeszcze pracę społeczną w zakresie swojej specjalności: układanie jadłospisów dla burs i żłobków.

W dniach 29 — 31 — wystawa II Miejskiej Szkoły Rękodzielniczej, zawierającej działy: haftarstwo, bielizniarstwo, krawiectwo, kamasznictwo, wreszcie fryzjerstwo z perukarstwem.

Pracownice fryzjerska i kamasznicza zorganizowały pokazy pracowni w ruchu.

Fryzjerstwo na terenie szkół zawodowych żeńskich jest nowością i w przyszłym roku szkoła wypuszcza pierwszy kontyngent fryzjerek, które zdadzą egzamin cechowy.

W dniach 6 — 9 czerwca wystawa w I-iej Miejskiej Szkole Rękodzielniczej z działami: bielizniarstwa, krawiectwa, koronkarstwa i haftarstwa, tkactwa, kilimkarstwa, dywaniarstwa i introligatorstwa.

W przyszłym roku szkolnym wprowadzony będzie jeszcze dział góseciarski z ortopedją.

Szkoła Gospodarstwa Domowego pod wezwaniem Ś-go Józefa urządziła pokaz prac uczennic, kształcących się na dwuletnim kursie gospodarstwa domowego. Pokaz obejmował duży dział kulinarny, w którym na szczególną uwagę zasługiwało piekarnictwo. Uczennice udzielały wyjaśnień, okazując zrozumienie i zamiłowanie zawodu i wyrobienie. Po skończeniu kursów pracują, jako pomocnice domowe, lub na własnych gospodarstwach.

## Ś. P. MARJA Z WOLSKICH ZAWISZYNA

Odeszła od nas, jeszcze w pełni sił umysłowych i umiejętności radowania się życiem, postać piękna, fizycznie i moralnie, w której oglądać mogliśmy (jak to słusznie nad jej grobem zaznaczono) „rzadkie połączenie staroświeckich cnót z nowoczesnym, postępowym światopoglądem“.

Piękne, czyste i szerokie życie. Z domu rodzinnego wniosła wysoką kulturę i rzetelny patriotyzm. Ojcem jej był Ludwik Wolski, znany działacz polityczny, poseł do sejmu wiedeńskiego; bratem — Wacław: ludzie o niezłomnej ideologii polskiej. Wyszła zamaż za Artura Zawiszę, właściciela ślicznych Gorzyc w powiecie Miechowskim w pobliżu Krakowa, i utworzyła ze swego domu gościnną przystań dla wszystkich szlachetnych poczynań. Dzieliła z córką, entuzjastyczną wywiadowczynią I-szej Brygady, trwogi i radości Wielkiej Wojny i, jak mało kto, umiała cieszyć się niepodległością kraju. Wraz z córką (autorką „Córki Boga“, drukowanej w „Bluszezu“) napisała, już w ostatnich latach życia, dramat p. t. „Król i natchnienie“, osnuty na losach Joanny d'Arc, a zawierający, zdaniem poważnych znawców, wielkie piękności. Dawniej już dramat jej, p. t. „Tyberjusz“, otrzymał I-szą nagrodę na konkursie im. Paderewskiego w Warszawie.

*Zabierz radjo na letniisko —  
Będiesz miał stolicę blisko.*

Zawsze miała wielkie zamiłowanie do historii i była autorką poważnych podręczników naukowych w tej gałęzi.

Z podobnemi do niej istotami znika niepowrotnie już może, bardzo polski, harmonijny i szlachetny typ kobiecy, o Grotterowskim uroku i ewangelicznej dobroci, daleki od nerwowej, egoistycznej a udreżonej współczesności. *Karolina Bielańska.*

## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

### POZYTECZNA PLACÓWKA GOSPODARCZO-ZAWODOWA.

W bieżącym roku obchodzi jubileusz 5-letniego istnienia Szkoła Gospodarczo-Zawodowa w Poznaniu (ul. św. Marcin 69).

System nauczania podzielony jest na trzy kategorie, zależnie od czasu nauki: I. kurs 45-lekcyjowy, II. 5-miesięczny, III. półroczny, oraz roczny, dwuletni i trzyletni. Wszystkie obejmują krócej lub dłużej gotowanie gospodarskie, wykwinne (zawodowe) kucharstwo, pieczenie ciast, naukę przyrządzania przetworów owocowych i jarzynowych, pranie, prasowanie, bielźniarstwo, krawiecczyznę w zakresie potrzeb domowych, robotki artystyczne i t. d.

Urządzone są również specjalne kursy wieczorne od 6 — 9 wiecz. dla osób zatrudnionych w ciągu dnia.

Dla uczennic, które chcą nabyć większej wprawy i doświadczenia, istnieje drugi kurs, wyższy. Po ukończeniu nauki wydawane są świadectwa prywatne. Własne Biuro Pośrednictwa Pracy ma dwa razy większe zapotrzebowanie na gospodynie, kuchmistrzynie, niż ilość zgłaszających się o pracę uczennic.

Szkoła ta otwiera przed kobietą cały szereg nowych dziedzin zarobkowych, dotychczas prawie niewykorzystanych.

Pożądane też jest, aby młode dziewczęta kierowały swe wysiłki na drogę nauki gospodarstwa domowego, co dać może zawód dobrze płatny, zdrowy i odpowiedni, jak np. w charakterze doradczyni dietetycznych w szpitalach, w szkołach, internatach i t. d. Dla kobiet zaś, nie pracujących zawodowo, szkoła taka również jest bardzo pożyteczna.

Praca domowa wraz z ogóln-oświatowym postępem staje się bardziej skomplikowana, niż dawniej: dziś dobra gospodyni, dobra żona i matka powinna się nauczyć, jak, przy minimum wysiłku i nakładu materialnego, dostarczyć swej rodzinie zdrowego pożywienia, musi nauczyć się, jak zwalczać niebezpieczeństwa, które grożą przez nieracjonalne odżywianie się.

Warunki materialne nauczania w szkole gospodarczej są przystępne, a córki urzędników państwowych korzystają z nauki bezpłatnej.

Kierowniczką szkoły jest p. Wiktorja Sadowska, zasłużona działaczka na tem polu, o wszechstronnych zaletach pedagogicznych.

### PIEŁĘGNIARKA NA ZNACZKACH POCZTOWYCH.

Na oryginalny pomysł wpadli organizatorzy obchodu Czerwonego Krzyża w Ameryce: wypuszczono 50 milionów



*Miss Mary Bard.*

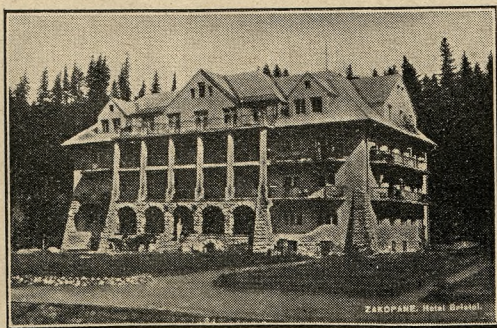
znaczków pocztowych z podobizną znanej piękności nowojorskiej, Miss Mary Bard, w kostjumie pielęgniarki Czerwonego Krzyża sprzedaż znaczków odbywała się w ciągu paru dni i przyniosła znaczne dochody.

Dotychczas niewiele podobizn kobiecych znajduje się na znaczkach, przeważnie monarchinie danych państw, lub kobiety-emblematy, jak Republika Francuska. Panna Bard jest pierwszą osobą prywatną, której twarz upamiętniono w ten sposób.

### PROGRAM KONGRESU KOBIET SŁOWIAŃSKICH.

Przed otwarciem Zjazdu odbędzie się w dniu 9 czerwca, o godzinie 8-ej, wieczornica towarzyska z częścią koncertową. Dnia 10 czerwca, o godzinie 10 rano, nastąpi uroczyste otwarcie Kongresu; 10, 11 i 12 czerwca odbywać się będą, od godziny 10-ej rano do godziny 1-ej w południe, posiedzenia plenarne, po południu posiedzenia Komisji. W przerwach i wieczorami zwiedzanie miasta, instytucji i przyjęcia.

Po zamknięciu kongresu, 12-go wieczorem, wyjazd uczestniczek do Gdyni, na Śląsk i do Krakowa.



**ZAKOPANE** Perła uzdrowisk polskich — daje emocjonujące widoki Tatr, tężyznę ducha i ciała, spokój, wypoczynek i zdrowie — a więc jedźmy wszyscy do Zakopanego.

**BRISTOL** Najtańszy luksusowy reprezentacyjny hotel-pensjonat w Zakopanem — daje wygody ogniska domowego, a w sezonach głównych rozrywki towarzyskie i zabawę. W okresach wiosennym i jesiennym ceny niższe od 30—50%. Tel. 315.



Cesarzowa Nagako przemawia.

#### CESARZOWA NA ZEBRANIU KOBIECEM.

Ruch kobiecy w Japonji pociągnął za sobą i sfery dworskie. Cesarzowa Nagako i księżniczki krwi zaczynają coraz częściej ukazywać się na zebraniach stowarzyszeń kobiecych. Świeżo, dla uczczenia trzydziestej rocznicy istnienia, odbył się wielki miting Patriotycznego Związku kobiet japońskich. Cesarzowa nie tylko przybyła na zebranie, lecz odczytała przemówienie z serdecznymi życzeniami dalszej pracy na drodze rozwoju kobiety japońskiej.

#### A KTO SIĘ ZAJMIE MĘŻEM?

Niesamowity dramat rozegrał się niedawno w okolicach Tomaszowa. Zamieszkały tam wyrobnik Mieczkowski miał młodą żonę, z którą żył zgodnie przez parę lat. Nagle przyjechał do Mieczkowskich krewny męża, Chwat, zaopatrzony w spory zapas gotówki, przywiezionej z Ameryki. Chwatowi podobała się Mieczkowska i początkowo usiłował namówić ją do porzucenia męża; widząc jednak, że nic nie wskóra, gdyż młoda kobieta nie chciała słyszeć o ucieczce, postanowił dokonać prostej transakcji pieniężnej: zaproponował Mieczkowskiemu, aby odstąpił mu żonę za dwa tysiące złotych! Targu dobito i Mieczkowski zapowiedział sam żonie, aby natychmiast opuściła jego dom i wyjechała do Ameryki z Chwatem, a gdy nieszczęśliwa kobieta nie chciała się zgodzić, wyrzucił ją z domu, grożąc zabójstwem.

Mieczkowska wyszła rzeczywiście z domu, nie wyjechała jednak ze swoim „nabywcą“, tylko ukryła się w pobliżu i w nocy podpaliła dom męża.

Odszukano ją, aresztowano i obecnie skazano na trzy lata więzienia jako „podpalaczkę“.

Zapewne, że podpalenie domu męża (był on przecież i jej domem) jest przestępstwem i nie może pozostać bezkarne; ale czy powinno zostać bezkarne sprzedanie własnej żony? I chęć kupna cudzej? A o ukaraniu Mieczkowskiego i Chwata nic jakoś nie słychać.

A może byliby słychać więcej, gdyby na fotelu sędziowskim danego okręgu zasiadła kobieta?

#### Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

W tygodniu ubiegłym gabinet podał się do dymisji. Pan Prezydent Rzeczypospolitej powierzył utworzenie rządu dotychczasowemu ministrowi przemysłu i handlu p. Prystorowi. W składzie nowego gabinetu zaszły (prócz osoby premjera) tylko dwie zmiany: na stanowisku ministra skarbu — poseł, wice-marszałek Sejmu, Jan Piłsudski, oraz minister przemysłu i handlu — generał Ferdynand Zarzycki.

Według opinii zarówno polskiej, jak i prasy zagranicznej, zmiany te w najmniejszym stopniu nie wpłyną na dotychczasową linię polityki polskiej.

Podczas obrad Rady Ligi Narodów, uwaga całej Europy skoncentrowała się tak na dwóch najważniejszych zagadnieniach: Anshlussu i przygotowań do konferencji rozbrojeniowej, że na sprawy „pomniejszych“ nie zostawało już wiele zainteresowania; dla nas jednak sprawy te są ważne. Zarówno Gdańsk, jak skarga mniejszości śląskich i ukraińskich. Można powiedzieć śmiało, że ci, którzy liczyli na dokuczenie Polsce i obniżenie jej prestiżu, dostali na wszystkich trzech punktach po palcach. Raport wysokiego komisarza Ligi w Gdańsku o panujących tam stosunkach wywołał odpowiedź, wyrażającą gdańszczanom dyplomatyczną, ale bardzo stanowczą naganę, a czego nie wypowiedziała dość wyraźnie dostojna Liga, to domówił Henderson, w sposób tak ostry, jak dawno w Genewie nie pamiętają.

W sprawie skarg niemców śląskich, rząd polski przedłożył Lidze odpowiedź, wyjaśniającą wszystkie zażalenia; przyjęcie formalne tego sprawozdania odłożone zostało do wrześniowej sesji Ligi. Są tacy, którzy uważają to za niezadowolające dla Polski. Są u nas, są i we Francji Wiadomo, że Liga nie jest chirurgiem i uznaje metody wyłącznie łagodnej terapii: wzamian za porażkę w sprawie Anshlussu, ustąpiono Curtiusowi raport śląski, aby „miał czas“ go przestudjować. Niemcy trzymali się tu swej zwykłej zasady straszenia Hitlerem. Jeżeli Curtius i w sprawie śląskiej dozna porażki, będzie musiał podać się do dymisji, a wtedy jego miejsce obejmie hitlerowiec. Kiedy po powrocie Brianda do Francji, odezwały się przeciw niemu w parlamencie zarzuty, że dopuścił do tego odłożenia sprawozdania polskiego, Briand odpowiedział zupełnie logicznie, że jest to sprawa bez znaczenia. Termin wrześniowy nie zmieni w sprawozdaniu polskim i czy Liga przyjmie je w maju, czy we wrześniu, wyjdzie na jedno.

Najsilniej zaznaczył się sukces polski w sprawie mniejszości w Małopolsce Wschodniej. Sabotażyści ukraińscy poruszyli w Genewie niebo i ziemię, aby Komitet trzech, któremu złożyli swe skargi na Polskę, wprowadził je na Radę Ligi. I przegrali na całej linii. Komitet oświadczył posłom ukraińskim, że sprawa ta jest wewnętrzną sprawą Polski i powinna zostać uregulowana przez ukraińców w porozumieniu z rządem polskim.

Decyzja ta jest bardzo znamienita: takie niedopuszczenie skargi mniejszości przed Radę Ligi wytłumaczyć można tylko tem, że komitet poinformowany był bardzo dokładnie o wyrotowej akcji ukraińców przeciw Polsce, gdyż jeśli chodziło o sympatję, a nawet pewne zobowiązania partyjne, to jeden z członków Komitetu, Henderson, jest przecież członkiem angielskiej partji Pracy, której 65 posłów złożyło niedawno w parlamencie interpelację w sprawie „krzywd“ ukraińskich w Polsce. I pomimo wszystko, Komitet uznał, że ukraińcy nie tylko nie mają racji, ale że niema wogóle racji mówić w Lidze o ich pretensjach.

## NASZA MÓWNIKA

### Kobieta jako czytelniczka.

Na powyższy temat w styczniu r. b. odbyła się w Lipsku dyskusja publiczna. Referenci twierdzili, że dziś, jak i dawniej, kobieta, którą przytłacza szarzyzna życiowa, szuka w powieściach lub czasopismach ucieczki. Stwierdzono również, że przemiany socjalne, którym ostatnio uległy kobiety, wzbudziły w nich nowe zainteresowanie życiowe. Coraz częstsze jest też połączenie dwu zawodów w życiu kobiety: zarobkowego i kierowniczki domu, oraz wychowawczyni dzieci, a zatem szukanie pomocy w książkach i czasopismach kobiecych, w których kobieta znajduje poradę we wszystkich codziennych zagadnieniach życia praktycznego, stawiającego jej coraz więcej wymagań. Stwierdzono również u kobiet tęsknotę do dobrej książki.

Tak, bo tylko dobra, mądra i piękna książka może wypełnić wszystkie puste chwile naszego życia. Zabić nudę, podnieść ducha, rozproszyc troski, no i pogodzić nas z rzeczywistością. Często bardzo osoby inteligentne, wyrwane z wartkiego życia miejskiego, znajdują się z wyroku losu na głuchej wsi; czy mają poddać się apatji, czy zrezygnować z życia? Nie! raczej skwapliwie powinny szukać środków zaradczych, któreby większą pustkę zamieniły na sanktuarjum, kwitnące kulturą i pięknem. A więc niech co tygodnia zjawia się czasopisma ilustrowane, pisma kobiece, miesięczniki, no i świeże książki.

Czuję już, jakie to wywoła protesty i okrzyki. „A któż sobie na to może pozwolić w obecnych ciężkich czasach! Pensje niewielkie, w domu braki, a tu choroba, lub inne niemiłe wydarzenia“. Tak powiedzą z żalem biedniejsi. Bogaci natomiast z ulgą i rezygnacją stwierdzą lakonicznie: „ciężkie czasy“. I już niema rady na takie dictum.

A ja jednak, pisząc powyższe, apeluję przedewszystkiem do kobiet pracujących, t. j. nauczycielek, urzędniczek i t. p. Przypominam, że te ostatnie korzystają ze zniżki, abonując pisma kobiece. Rzecz pewna, iż ciężko jest wydać kilka złotych miesięcznie na prenumeratę, zwłaszcza, że z trudem je zdobywamy, ale i na to jest rada. Należy zaabonować wspólnie. Kilka pań, razem pracujących, łatwo mogą się porozumieć i za grosze mieć radość czytania. Przysporzy to dużo wiedzy, rozstrzygnie szereg zagadnień, z którymi nieraz trudno się uporać, uspołeczni nas i rozszerzy pogląd, zaznajomi z ruchem kobiecym w Polsce i zagranicą, nauczy spółżycia z ludźmi i ulepszy nasze prace domowe. Prasa wogóle, a kobieca w szczególności jest najwierniejszą i najwyrozumialszą naszą przyjaciółką. Utrzymana na wysokim poziomie literackim i artystycznym, budzi w nas zagadnienia, związane z troską kobiety polskiej o utrzymanie kultury narodowej.

Powyżej, pisząc o projekcie wspólnego abonowania pism, miałam na myśli pewien przykład, który okazał się bardzo praktyczny. Otóż grono pań nauczycielek z Krasnegostawu-Góry wspólnie abonuje „Bluszcz“. Nieznacznym kosztem, bo za ledwie kilkudziesięcioma groszami od osoby miesięcznie, rozjaśniają szare, codzienne życie sobie i otoczeniu. „Bluszcz“ po przeczytaniu wraca do adresatki z tem, że po roku, oprawione w całość egzemplarze zostaną przesłane do komitetu niesienia pomocy polakom zagranicą. Piękny ten przykład winien odbić się głośnie echem w gronie kobiet pracujących i znaleźć szerokie zastosowanie. Jestem przeświadczona, że panie zdadzą sobie jasno sprawę z korzyści, jakie dla siebie będą mogły osiągnąć, no i z czynu niesienia pomocy kulturalnej naszym rodakom zagranicą, i chętnie zakrzętną się koło dzieła tak wielkiej wagi.

Korzystne jest również wspólne abonowanie książek. Zapłacone grosze pomnożą naszą wiedzę. Książka, to jak wierny druh: nie narzuca się nam, nie woła; oparta o ścianę półki, zdaje się drzemać, a jednak każda z nich spogląda na nas, gdy je

mijamy, nie patrząc. Gdy wieczorem wracamy zmęczeni pracą, gdy chcemy zostać sami, bo nas ludzie znudzili, sięgamy wówczas po książkę, z wdzięcznością.

Gdy w życiu zastosujemy powyższe przykłady, nie będziemy się uskarżać na nudy, nie będziemy apatyczni i zniechęceni, a raczej kształcąc umysł przez umiejętne czytanie, trzymać będziemy palec na tętnie życia, które stale rwie naprzód. Świadome swych praw i potrzeb, dzielnie będziemy stawiały czoło przeciwnościom losu. *Polia Palowska — Krasnystaw.*

### Jeższe o korporacjach.

W odpowiedzi na moje uwagi o żeńskiej korporacji „Priora“ p. R. przypuszcza ataki do korporacji męskich! Nie głębokie i na efekt obliczone wycieczki w stronę kolegów-korporantów oto wszystko, co znalazłam w tym artykuliku. Ach! przepraszam, nie wszystko, bowiem po scharakteryzowaniu działalności korporacji, jako „zbytecznej, a nawet ujemnej“, Sz. Autor pisze: „Bardzo Wam chwale, że, mając taki przykład... tworzycie własną, żeńską korporację“. Ponieważ nie chciałabym posądzać p. R. o brak logiki, muszę westchnąć: „co za pałęca ironja!“... Nie mam zamiaru bronić korporacji męskich, dadzą one sobie same świetnie radę; pozwolę sobie tylko zwrócić uwagę p. R., że dekel to właśnie nazwa czapki korporanckiej i powrócę do sprawy k. „Priory“.

Nietyle „denerwuje“ mię, co dziwi przejęcie obyczajów męskich przez tę organizację, gdyż uważam, że *formy organizacyjne* korporacji, o ile są bardzo dobre i mają swoje wychowawcze znaczenie dla młodych ludzi, o tyle są jaknajniefortunniej wybrane dla niewiast. Poza tem, jeżeli z deklem i bandą łączy się wyobrażenie kufła (zazwyczaj piwa, nie miodu), mensury i t. p., to czemu tem dziedzictwem obarczać kobiety? Z chwilą bowiem, gdy żeńskie zrzeszenie przybiera wszelkie formy korporacji, to w wyobraźni powstaje obraz niewiast (niekoniecznie urodziwych) w przekrzywionych deklach, z kuflem piwa w dłoni, co może być *zupełnie niezgodne z rzeczywistością*, lecz co nasuwa się z siłą sugestywną i budzi niesmak, odradzający się zawsze na widok popielatego dekla ze złotym cyrklem, któremu, o dziwo! towarzyszy wykrzyknik, oznaczający, że nosząca go osoba odpowiada honorowo z bronią w ręku.

O to niemiłe wrażenie i o absolutną niewłaściwość reżimu korporacyjnego dla kobiet chodziło mi, gdy interpelowałam koleżanki, „Priorzystki“, dlaczego tak mało wykazały inwencji przy organizowaniu swego stowarzyszenia. Marzenie o „tchnięciu ducha kobiecości“ w formy, specjalnie dla mężczyzn stworzone, nie mogło im w pracy tej towarzyszyć, gdyż byłoby ono dowodem zupełnej niezajomości form życia korporacyjnego, o co trudno posądzać kopijujące je koleżanki.

Własny „styl“ życia, to własne formy organizacyjne: zdobądźcie się na nie, koleżanki! *Baśka Korema. Stud. U. W.*

### Czy zły obyczaj? (w odpowiedzi p. Holstorpowi).

Jestem zdania, że pożyczac, ale jednocześnie ucząc ludzi punktualnego i uczciwego oddawania. Ludzie już tacy są, trudno, że zewnętrzny aparat i *ceremonja* dużo dla nich znaczą. Trzeba zrobić katalog swoich książek i pism (choćby w skromnym kajeciku) i zapisywać: taką książkę lub pismo wziął ten, czy ta, na tyle czasu. Będą się wstydzili nie oddać. Piszę z doświadczenia, bo sama tego spróbowałam, pomogło.

*Lena W. — Warszawa.*



## WKRZYWEM ZWIERCIADLE

Życie jest igraszką w rękach ludzi, czy też ludzie są pionkami w partji życiowej — na to pytanie trudno dziś znaleźć odpowiedź. Powoli, lecz nieustannie w umysłach ludzkich zachodzą przedziwne zmiany przekonań i wyobrażeń. Technienie teorii względności rozproszyło się we wszechświecie, mącąc umysły, znieczulając serca, które wobec najdziwaczniejszych anomalij życiowych nieruchomieją w biernej obojętności.

Pochodzi to potrosze z ogólnej psychozy powojennej, która ugruntowała się na pojęciu, że życie należy do silnych! Ale w silnym widzi się raczej człowieka — bez skrupułów. Wojna, jej okrucieństwa i konsekwencje stępiły na długie lata wrażliwość duszy ludzkiej — ten idealny metronom naszych stanów psychicznych. W dalszym ciągu, powojenna coraz zaciętsza walka o byt pogłębiła te wątpliwe przymioty, zdobyte podczas wojny. Dziś, choć sami zaczynamy się dusić w atmosferze „dobroczynej prostoty obcowania“, stworzonej przez nas samych — nie znajdujemy łatwego odwrotu z obranej drogi prymitywu.

Przyczynia się do tego bierność, właściwa naszej współczesności, umiłowanie drogi najmniejszego oporu, a nadewszystko obawa przed śmiesznością, przed narażeniem się na protesty, które zawsze towarzyszą poczynaniom jednostki, stojącej do nowatorskiej walki z nastawieniem ogółu.

A obecnie podniesienie walki w obronie starych prawd i ideałów poczytane być może niekiedy za niebezpieczną demagogję, godzącą w nowy porządek świata.

Przypatrzmy się jednak zbliska — na przykładach z życia, jak komentowane są dziś wśród społeczeństwa stare, jak świat, właściwości duszy ludzkiej, znane nam pod pojęciami: obyczajności, uprzejmości, uczciwości. Zobaczmy, jak współcześni rodzice pojmują swe obowiązki względem własnych dzieci, a sami wyciągniemy wnioski, czy należy zbudzić władze dusz naszych do czuwania i przeciwdziałania, czy też nadal trwać w bierności i schlebiać instynktom w imię „świętego spokoju“.

A teraz kilka sfilmowanych z życia scenek na poparcie smutnych teoryj.

Gdybyśmy w przystępie szczerości komu z naszych bliskich znajomych zarzucili brak uprzejmości — narazilibyśmy się na przykrą scenę, zerwanie stosunków towarzyskich, któreby rezonansem skandaliku odbiło się w sferach nam najbliższych. To wysokie pojęcie o własnych walorach towarzyskich i wszechstronnem obyciu nie przeszkadza bynajmniej dwu serdecznym znajomym na wymianę następujących uprzejmości.

Pani Gizela — młoda rozwódka — dzwoni do państwa Hipolitostwa, zapraszając ich na dzień następny — na bridge'a. Pani Hipolitowa wyraża ubolewanie, iż z zaproszenia skorzystać nie będzie mogła,

gdyż dzień ten ma już rozplanowany. Pani Gizela wie, że państwo Hipolitostwo są młodem i kochającym się małżeństwem, które jeszcze nie wkroczyło w okres współżycia, polegający na szukaniu przyjemności każde na swoją rękę, niemniej rzuca odważne pytanie:

— A mąż, czy też jest zajęty?

— Mąż nie, ale będzie mi napewno towarzyszył.

— To ja na to nie pozwolę, aby nudził się przez poświęcenie. Przyjdą państwo do mnie na chwilę razem przed w pół do szóstą. Mąż zostanie na bridge'u, a drogą panią bez najmniejszego skrępowania zwalniamy od nudzenia się w naszym towarzystwie.

— Wobec tego bardzo dziękuję, skorzystamy napewno z zaproszenia — odpowiada pani Hipolitowa drżącym głosem.

— Oczekuję więc drogich państwa niezawodnie i cieszę się zgóry, że kochaną panią będę mogła uściskać.

Na tem kończy się rozmowa.

Wzdłuż kabla telefonicznego suną dwa prądy. Jeden rozradowanej miłości własnej i zwycięskiej dumy; drugi — obrażonej godności ludzkiej i podświadomego niepokoju. Cała natura kobieca buntuje się przeciw narzuconej jej przez towarzyszkę roli, którą łatwo sprowadzić do roli lokomotywy, wekslującej żądany wagon na właściwy tor, aby go tam pozostawić do dalszych przeznaczeń.

Podobna względność oceny charakteryzuje również pojęcie o uczciwości. „Łatwiej raz w życiu zdobyć się na bohaterstwo, niżli całe życie pozostać uczciwym człowiekiem“ — mówi Pirandello i ma słuszną rację. Każdy przeciętny człowiek, jeśli już rezygnuje ze specjalnych, wyróżniających go przymiotów, to jednak mniema o sobie niezachwianie, że jest — uczciwy. Gdyby mu okazano najmniejsze powątpiewanie — bilby! Lepiej więc nie wątpić. A jednak?

Ten sam człowiek, spotkawszy przyjaciela, oznajmia:

— Wyobraź sobie, miałem „szczęście“! Mówię ci, los mi sprzyja. Znalazłem w tramwaju ten oto notes z ołówkiem w skórzanym oprawie i tylko do połowy zapisany. Wydarłem więc zniszczone kartki i będzie mi służył doskonale. A co, czy nie mam „szczęścia“?

I ów bezmyślny „szczęściarz“ ani przez chwilę się nie zastanowił, ilu powikłań przyczyną mógł się stać dla prawowitego właściciela notesu. Nie pomyślał, że notes należało oddać w ręce konduktora, zapisując dla pewności jego numer we własnym notesie, aby mieć gwarancję, że zguba wróci do rąk właściciela.

To samo dzieje się z różnemi drobiazgami, pozostawianymi tak często wskutek roztargnienia, lub zderzenia w sklepach, autach, tramwajach i t. p. Znalazca, którego w pierwszym momencie zaboli nawet fakt przywłaszczenia sobie cudzej własności, znajdzie na uspokojenie nadwrażliwego sumienia kochającą formułkę, że „przecież, jeśli on nie podniesie, czy nie weźmie, to uczyni to przechodzeń następnym“.

Podnieść należy, lecz, mając „szczęście“ znalezienia czegoś, trzeba zadać sobie trud odszukania właściciela, gdyż wszelkie wyróżnienie losu wkłada na nas tylko coraz nowe obowiązki. Pomocą dla chętnych zawsze są redakcje pism codziennych, które na swych łamach informują bezinteresownie o przedmiotach zgubionych. A czyż odniesienie znalezionej rzeczy do najbliższej redakcji jest tak wielkim wysiłkiem fizycznym? poczytywać je należy raczej za wysiłek moralny!

Wśród współczesności daje się zauważyć kolasalny pęd w poszukiwaniu wrażeń i nowości. Cokolwiek jest nowe, musi być, chociażby na początku, uznane za lepsze od poprzedniego. Ta niezdrowa żądza emocyj zabija w ludziach sąd krytyczny oraz zdrowy pogląd na świat i rządzące nim prawa.

Najtrwalsza forma uczuć ludzkich—sentyment—spopielił się dziś w duszach. Na kult sentymentu nie ma obecnie czasu. Bo właściwością sentymentu jest to, że człowiek otacza uczuciem cząstkę własnego „ja“, pozostawianą w wędrówce życiowej w każdej istocie żywej, czy martwej, która czemś do ukształtowania jego życia się przyczyniła.

Nie jest to nawet umiłowanie danej istoty, czy rzeczy, tylko nuta wzruszenia nad wspomnieniem dawnych porywów, wywoływana ich obecnością. Sentyment przywiązania dziś stał się przeżytkiem. Dlatego też węzły, łączące ludzi, rozluźniły się bardzo. Rozwód nikogo dziś nie dziwi. Zdobyl sobie obywatelstwo wśród współczesnych i ugruntował opinię. To dziwne, jak sympatje ludzkie ogniskują się zawsze solidarnie na osobie tej drugiej żony, pierwszą odgradzając murem niepamięci! I znów przykład jaskrawy.

Siostra męża, poraz drugi ożenionego, rozpacza nad losem swej nowej bratowej, której ciężkie przejścia porodowe grożą nieprzewidzianymi komplikacjami. Stara ciotka, obecna przy tej scenie, wyrokuje z całą oschłą sprawiedliwością.

— Żadna krzywda szczęścia nie daje. Nie trzeba brać żony drugiej, gdy się ma pierwszą, a z nią dwoje dzieci.

— Ależ, moja ciociu, Jan był tak nieszczęśliwy w pierwszym małżeństwie, że mu się coś od życia należało! Krystyny nigdy nie kochał.

— Szkoda, że nie pomyślał o tem, uzyskując w Rzymie specjalne zezwolenie na ślub z Krystyną, swą cioteczną siostrą.

— No, tak! Ale to już było tak dawno!

— Masz rację: szesnaście lat temu. Zobaczmy, co powie o swem drugim małżeństwie za równy szmat czasu, jeśli mu siły i zdrowie dopiszą.

Przedziwne są wyrazy ludzkich uczuć i pojęć o przejawach życia. W poszukiwaniu nieznanych dróg do ludzkich dusz i nowych form prostoty współżycia, błędzimy w zagmatwaniu pojęć o prawdzie i uczciwości, które podświadomie nagiąć pragniemy do poziomu wrodzonych namiętności i instynktów. W złudnem tworzeniu tych nowych granic swobody, prze-

kracamy nieświadomie granicę, dzielącą człowieka od bestji, i wpadamy w potrzask wywołanej z prabytu pierwotności natury, która w oddaleniu perspektywicznym wydawała się nam dziedziną nowych zdobyczy człowieka.

Gorzka to pomyłka! lepiej ją dostrzec zawczasu, niżli rozmyślnie zamykać na nią oczy.

*Marja Ankiemiczowa.*

## JAK I NA CZEM OSZCZĘDZAĆ?

### I.

Bicie w dzwony niepokoju i trwogi z racji obniżenia pensji i kryzysu gospodarczego, jaki pospołu ze wszystkimi krajami przechodzimy, ma, jak każda sprawa ludzka, dwie strony. Jedna żalosna, którą poruszamy na innym miejscu; druga, cokolwiek jaśniejsza, niepozbawiona wartości wychowawczych, będzie jakgdyby szkołą i próbką moralną dla naszego charakteru narodowego, którego cechą znamionną jest: niecierpliwość, pośpiech, niewytrzymałość; pozatem lenistwo i zupełny, ale to kompletny zanik zmysłu oszczędności.

O tym ostatnim chcę właśnie mówić z okazji naszego przesilenia gospodarczego. Oszczędności?... — powiecie — ależ na czem tu można robić oszczędności?! Już bardziej skurczyć budżetu, niż my to robimy, nie sposób... inaczej to będzie zwykły głód!...

A więc, zacznijmy od podstaw: zakupy. Robi się je u nas zupełnie bezsensownie. Mianowicie: kupuje się codziennie w torebce kaszę, mąkę, cukier, parę jarzynek. Więc traci się na wadze, bo każdy sklepikarz oszukuje, niedoważając nibyto w pośpiechu, chwyta towar z wagi, gdy ta jest jeszcze w ruchu i do każdego pół i ćwierć kilo, kupionego co dnia, dochodzi ciężar torby; jest to rzecz wiadoma, że w sumie przez miesiąc tracimy poważną ilość zakupu przez rozdrabnianie go.

Z tym systemem stanowczo trzeba skończyć. Zakupy muszą być załatwiane miesięcznie, magazynowane w kredensie i wydawane przez panią domu, bądź przez inną zaufaną osobę.

Potem: ilość potraw może być ograniczona do minimum, np.: można zerwać ze starym systemem „trzech dań“, bo jeśli jednym daniem ma być cienka „bezpodstawna“ zupka, ugotowana na powietrzu, soli i odrobinie jakiejś jarzyny, czy syntetycznym maggi; drugim kotlety, w których trzy czwarte treści stanowi chleb lub bułka, a mięsa dodano tylko dla smaku, trzecim zaś tradycyjny deser — „galaretką“ — więc woda z syntetykiem, kupionym w proszku — jeśli taki obiad ma być pożywieniem, to powiem, że jest raczej parodją.

Zerwijmy z tradycją, „elegancją“ i koniecznością popisania się przed służącą (znam bardzo wiele takich domów), że jadamy obiad, z trzech dań złożony, i ugo-

tujemy poprostu zawieszają zupę z jarzynami, wkrajanym mięsem, kartoflami i skwarkami słoniny; dajmy te zasadnicze porcje duże, aby wszyscy się nimi mogli nasycić, dołożmy do tego mocną kromkę chleba z masłem, a na drugą potrawę dajmy kluski, makaron, czy kaszę zacieraną z masłem, albo z jakąś przyprawą, więc z sokiem, mlekiem, cukrem, cynamonem.

Takiego zasadniczego pożywienia spożyjemy dostateczną ilość, a z pewnością będziemy lepiej odżywieni, niż owemi „trzema daniami“. Jeśli nie mamy owoców, spożywajmy marchew surową, kapustę kiszoną, sery białe; unikajmy natomiast wędlin, jako produktu bardzo drogiego i niezawsze bezpiecznego dla zdrowia. Najdroższe są kolacje wędlinowe i często powodują przewlekłe choroby.

Nakoniec przejrzymy bardzo dokładnie, czy też nie dzieją się w naszym domu (jak prawie w każdym domu polskim) grzechy zasadniczego marnotrawstwa. Czy wszechwładna Kasia nie gotuje zupy, która cienkością swoją (jak wyżej) rywalizuje z nitką jedwabiu, zato „ugotowało się“ za dużo, więc Kasia ją chlapie do zlewu; Kasia nie wie, że jarzyny, wygotowane w zupie, wszystkie jarzyny, pokrajane i polane cytryną, czy octem, na całym świecie są podawane, jako sałata, tylko u nas idą do kubła. Dalej — Kasia nie wie, ale pani powinna wiedzieć, że kawałki chleba i zmiecione okruszki po obiedzie nie tylko są pożywieniem wróbli i pociechą piesków, przeglądających śmietniki, ale *po-minny* być użyte do siekanin i na zupełnie dobre le guminy (jajko, cukier, pianka).

Te okruszki, sprzątane skrupulatnie i magazynowane do pudełeczka, stały się powodem pośmiewiska i urągania całej mojej rodziny nad pewną sąsiadką, niemką, z którą mieszkalam dawnymi laty na letnisku. Dziś widzę, jaka to była mądra i rządna kobieta... oddaję jej na tem miejscu całą cześć należną. Niemka ta, ku naszemu zgorszeniu, z dzikich jabłek i gruszek robiła marmelady, pasztety z pogardzanych przez nas kurek i konfitury z dzikiej róży, zachwaszczającej pola. Dziś polecam naśladowanie jej wszystkim polkom, bo na wszystkim można oszczędzić i ze wszystkiego można zrobić rzecz pożyteczną; ulepszeniom i poprawkom niema końca.

U nas wszystko się wyrzuca i marnuje. I skórki chleba, i obierzyny jabłek (nalane letnią wodą i ciągle zmieniane, dają wyborowy domowy ocet, nieszkodliwy dla zdrowia i pachnący, jak wino), i resztki soków i konfitur, zasychające na brzegach słoje (można je nalać wodą i użyć choćby do zupy zamiast cukru).

Nie możemy się pozbyć rutyny. Musimy koniecznie spalić dużo ognia i jadać potrawy „gotowane“, kiedy np. w lecie i na wiosnę chleb z masłem, czy skwarkami, lub słoniną przetopioną z cebulą, rzodkiewka, szczypiorek i mleko, byle w dostatecznej ilości spożyte, doskonale i niekłopotliwie odżywią każdy żołądek. Odpada gotowanie kolacji, pochłaniające dużo czasu i węgla. Spożywanie potraw w stanie suro-



Zachowuje  
świeżość cery

Mydło  
**ELIDA**  
*Favorit*

wym ułatwia odżywianie się rodziny; nie należy tylko zapominać, że trzeba się nasycić, nie żałować cukru, uwzględniać jaknajbardziej jarzyny surowe i gotowane (niekoniecznie muszą być drogie i wykwintne: *każda* jarzyna jest dobra); wykreślenie mięsa z jadłospisu umniejszy w naszym ciele zwyrodnienia artretyczne, nie stracimy więc na tem; należy tylko pilnie uważać na pożywność oraz ilość spożytych pokarmów. Można, jedząc tanio, odżywiać się bardzo dobrze.

W dobie przemian i rewizji, nie tylko nasze mieszkanie, garderoba i sposób myślenia podlega odnowieniu i uproszczeniu: musimy wprowadzić odnowę również w dziedzinie tak ważnej, jak własne odżywianie: uprościć je. To nam narzuca życie.

I niewolno niczego marnować.

Kilka słów osobnych należy się wsi. Tam do prawdy każda pani domu żyje, jak w rajach obfitości. Las, pole, ogród, dają nieustanne skarby, które należy w tych ciężkich chwilach wykorzystać wszechstronnie. Nie kopać i nie niszczyć choćby tych marnych bedłek (grzyby) o kapeluszkach kolorowych i blaszkowatym spodzie (uduszone z masłem i cebulą dają bardzo smaczne pasztety); nie marnować opadłych przedwcześnie jabłek i gruszek, lecz użyć je na galarety i marmelady z dodatkiem marchwi i buraków; wszystkie jagody używać na konfitury, soki, marmelady, wina i octy; zioła suszyć dla swego domu i sąsiadów użytku (w aptece płaci się wielkie sumy za odrobinę tego suszu); każdy ogórek, korniszonek (nie-dorośli ogórek), nadpsuty pomidor, użyć na kiszonkę, marmelady i t. p. Spasać drób, trzodę chlewną chrabąszczami. Znakomicie smakują nie tylko kurom, ale i świniom; suszone, pobudzają nieśność kur w zimie; chrabąszcze powinny być traktowane, jako artykuł przemysłu, przez panie mieszkające na wsi; zbierać je bardzo łatwo, a są wyborowym pożywieniem białkowym, które z pewnością znajdzie w zimie chętnych nabywców. Na każdym więc kroku musimy się zastanowić, co i jak wykorzystać, aby choć w części dorównać skrzętnym, gospodarnym i mądrze wyzyskującym każdy produkt francuzkom, holenderkom i niemkom.

mar-mor.

## JAK DORABIAĆ

HODOWLA ZIOŁ LEKARSKICH.

*Mięta pieprzowa.*

Hodowla ziół lekarskich, postawiona na racjonalnej stopie i prowadzona na wielką skalę, jest źródłem dochodu nie tylko nie wykorzystanym, ale zgoła niedocenionym w naszym kraju.

Dlatego takie kraje, jak: Austria i Niemcy, Węgry, Holandia, Anglja, Stany Zjednoczone, zorganizowały tę gałąź hodowlaną, zadowolniając nie tylko zapotrzebowanie rynku wewnętrznego, ale obsyłając wyprodukowanymi na podstawie ziół lekarskich preparatami rynki zagraniczne, a my ciągle pozostajemy w zależności od importu, kiedy moglibyśmy eksportować zioła, lub przerabiać je w kraju, dając zatrudnienie ludności, przysparzając sobie samym dochodów i zatrzymując poważne kapitały w kraju?

Trudno o wytłumaczenie dla tej niezrozumiałej opieszałości, bo przecież Polska — to kraj rolniczy, a jeżeli w warunkach przedwojennych gospodarstwa rolne mogły procentować zadowolniająco, idąc po drodze odwiecznego szablonu, to dzisiaj muszą szukać nowych dróg i nowych źródeł dochodu, a źródła te mamy pod ręką: chociażby dobrze zorganizowana pod względem handlowym i umiejętnie prowadzona, hodowla ziół lekarskich.

Panie, mieszkające na wsi, powinny zainteresować się tą martwą po dzień dzisiejszy dziedziną, zaznajomić się z hodowlą poszczególnych ziół, przystosowując je do warunków miejscowych (klimat, gleba, robocizna), zbadać u źródła warunki zbytu, przeprowadzić na podstawie próbnej, niewielkiej na początek, hodowli, kalkulację handlową i zacząć traktować tę gałąź hodowlaną z należnym jej zainteresowaniem.

Wszelkich objaśnień, i to objaśnień rzeczowych i fachowych, udzieli chętnie oddział Centralnego Tow. Rolniczego, pozostający pod kierownictwem pana Biegańskiego (Warszawa — Kopernika 30), a w myśl starego francuskiego przysłowia przekonamy się łatwo, że najwięcej kosztuje pierwszy krok — to znaczy, powzięcie decyzji — reszta dokona się już siłą rozpędu, jeżeli nie zabraknie wytrzymałości i dobrej woli.

Omawiając hodowlę ziół lekarskich, postawimy na pierwszym miejscu Miętę Pieprzową, jako jedną z cenniejszych i cieszących się wielkim zapotrzebowaniem roślin lekarskich.

*Mięta pieprzowa* jest rośliną wieloletnią, o szerokim zastosowaniu leczniczym pod postacią: samego ziela, olejku miętowego i wreszcie mentolu.

Jakie warunki terenowe sprzyjają hodowli mięty?

Gleba lekka, o dużej zawartości wilgoci, utrzymana w wysokiej kulturze; bliskość zbiorników wody, lub wilgoci (bagna, mokre łąki) z unoszącymi się co-

dziennie oparami i słoneczna wystawa, która wpływa zarówno na silne rozkrzewianie się mięty, jak i na wysoką siłę aromatu — oto idealne warunki, sprzyjające prawidłowej hodowli.

Na podstawie przeprowadzonych doświadczeń wiemy, że mięta udaje się najlepiej na ziemiach piaszczysto-próchnicowych, lekkich glinkach i zaoranych łąkach. Aczkolwiek mięta wymaga ziemi bardzo urodzajnej i silnie użyźnionej, to jednak zakładanie plantacji na nawozie świeżym nie jest wskazane. Plantację zakładać trzeba w rok po nawozie bydlęcym, w dwa lata po kłocznym; zarówno jeden, jak i drugi nawóz powinien być nieco wykorzystany przez przedplon, którym będą wszelkie rośliny okopowe, po których spręćcie trzeba dać warstwę kompostu i pozostawić go tak do następnej wiosny.

Wczesna wiosna — to pora starannej i prawidłowej uprawy terenu, przeznaczonego pod plantację mięty. Uprawa ta polega na: płytkiej orce; puszczaniu po niedługim czasie kultywatora; drugiej orce głębszej i zbronowaniu. Przy uprawianiu niewielkich terenów (w ogrodzie) uprawę mechaniczną zastąpimy uprawą ręczną, przekopując raz płytko, drugi raz głęboko i wygrabiając starannie teren.

Przy bardzo starannej uprawie, po bronie damy jeszcze grabie ręczne, rozdrabniające grudki ziemi, pozostałe na powierzchni.

Jeżeli zakładamy plantację na świeżo zaoranej łące, trzeba zerwać u schyłku lata murawę, wysuszyć ją i rozkruszyć motykami; powierzchnię tak przygotowaną zabronować, przykryć kompostem, przyorać go na wiosnę, puścić kultywator, dać bardzo głęboką orkę, zbronować i wyrównać powierzchnię grabiami.

Rozmnaża się miętę zapomocą dzielenia krzaków, lub przygotowania sadzonek, o których trzeba pomyśleć w lecie, aby dały się zużytkować na wiosnę.

Obsadzamy plantację w linje, odległe jedna od drugiej o 35 cm. Pomiędzy krzakami zachować trzeba odległość 30 cm. Sadzić należy bardzo starannie i nie zaniedbywać tępienia chwastów.

Do chwili wypuszczenia bocznych pędów stosujemy obróbkę planetem; z chwilą rozkrzewienia się mięty trzeba stosować już pielenie ręczne, aby nie łamać i nie niszczyć roślin.

Plantacja mięty może pozostawać na jednym i tem samym miejscu kilka lat zrzędu. Kiedy trzeba ją przenieść na nowe miejsce, przekonamy się, obserwując vegetację. Wskaźnikiem będzie zbytne zagęszczenie się plantacji, drobnienie poszczególnych krzewów i występujące coraz częściej puste place, ogołcone przez zamierające krzewy.

Przenosząc plantację, wyjmujemy na jesieni roślinę, odejmujemy od niej rozłogi, odrzucamy starą karpę, rozłogi zimujemy i przenosimy je wiosną albo na świeżo wybrany i odpowiednio przygotowany teren, albo też doprawiamy teren dawny, który trzeba w danym wypadku użyźnić jesienią nawozami bydlęc-

cemi, przyorać, a wiosną uprawić, jak wyżej, dając nawozy pomocnicze (tomasówka).

Najidealniejszym systemem byłoby zastosowanie rocznej przerwy przez posadzenie na miejscu plantacji mięty pieprzowej okopowych, albo kapusty i założenie ponownej plantacji dopiero z wiosną następnego roku.

Przy sprzyjających warunkach mięta daje trzy pokosy. Dwa pierwsze bardzo obfite — trzeci mierny. Nie należy nigdy odwlekać chwili zbioru, gdyż cenny olejek znajduje się tylko w liściach, a nadmierna ilość grubych łodyg obniża wartość faktyczną i wartość sprzedażną towaru. Zatem, zyskując na wadze, tracimy na wartości i na cenie.

Miętę ścina się sierpem, przesusza, rozkładając na pobliskiej murawie, poczem przechowuje się ją na przewiewnych poddaszach, gdzie powinna doschnąć należycie.

Zyskując transport do wysyłki, trzeba przed złożeniem mięty do worków dostarczyć jej nieco wilgoci, jednak nie sztucznej (przez skrapianie), a naturalnej, atmosferycznej, np. przez otwieranie okien w dnie dżdżyste. Suche liście mięty, złożone do worków, łatwo się kruszą i towar traci na wartości sprzedażnej.

Dobrze prowadzona i założona w sprzyjających warunkach plantacja daje plon bardzo obfity, bo dochodzący do 3,200 kg. mięty suszonej z jednego hektara ziemi. Cena mięty w ostatnim sezonie dochodziła do *dwóch złotych za kilogram liści pięknie wysuszonych*. Transport bardzo łatwy, to też hodowla opłaca się nawet w miejscowościach odległych od centrów handlowych.

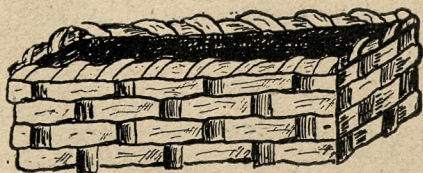
Odpowiednim terenem hodowlanym dla mięty pieprzowej są Kresy wschodnie, odznaczające się wielką ilością bagien i moczarów, a przez to samo obfitujące w wilgoć atmosferyczną, tak cenną dla bujnej vegetacji mięty pieprzowej.

Halina Orska.

## O ZBIORZE TRUSKAWEK

W swoim czasie omówiłam zakładanie truskawczarni, teraz chciałabym dodać parę słów o zbieraniu truskawek, a także o opakowaniu ich przy wysyłaniu na rynek.

Nim truskawki zaczną dojrzewać, musimy obejrzeć jeszcze raz plantację i oczyścić ją ostatecznie z zielska. Czynność tę należy wykonać bardzo uważnie, by nie poobtrać jagód. Ponieważ ciężkie owoce truskawek nie mogą utrzymać się na wiotkich łody-



Rys. 1. Łubianka do zbioru truskawek.



gach i kładą się na ziemi, przez co się brudzą, musimy je odpowiednio zabezpieczyć. Owoce, powalane ziemią, trudno bardzo oczyścić, obmyte zaś zupełnie nie nadają się do transportu, gdyż bardzo łatwo się psują — a także przy plókaniu tracą dużo na smaku, wyglądzie i aromacie.

Aby je więc od tego uchronić, wyścielamy ziemię wokół krzaków bardzo grubą sieczką (4 — 5 cm. kawałki słomy), ściółką leśną, mchem — ogrodnicy używają najczęściej słomiastego, dobrze wytrząśniętego nawozu, który do czasu zbioru zostaje przez deszcz wypłukany.

Zbiór truskawek zaczyna się w pierwszej połowie czerwca i trwa mniej więcej do połowy lipca. Powinno się zbierać owoce po obeschnięciu rosy, w suchy, pogodny dzień, możliwie przed południem, by tegoż dnia mogły być odstawione na rynek — względnie użyte do konsumpcji. Owoce, zbierane po deszczu lub z rosą, bardzo łatwo się psują. Zrywamy jagody wraz z kielichem i kawałkiem szypułki, gdyż tak zebrane daleko ładniej wyglądają i dłużej mogą leżeć.

Zbierać truskawki będziemy do małych, jednokilogramowych łubianek, wysłanych liśćmi truskawek lub malin, sortując odrazu przy zbiorze i unikając wszelkiego późniejszego przekładania. Owoce truskawek są b. delikatne i najmniejsze przygniecenie odrazu wywołuje plamy, psucie się, a więc i gorszy wygląd.

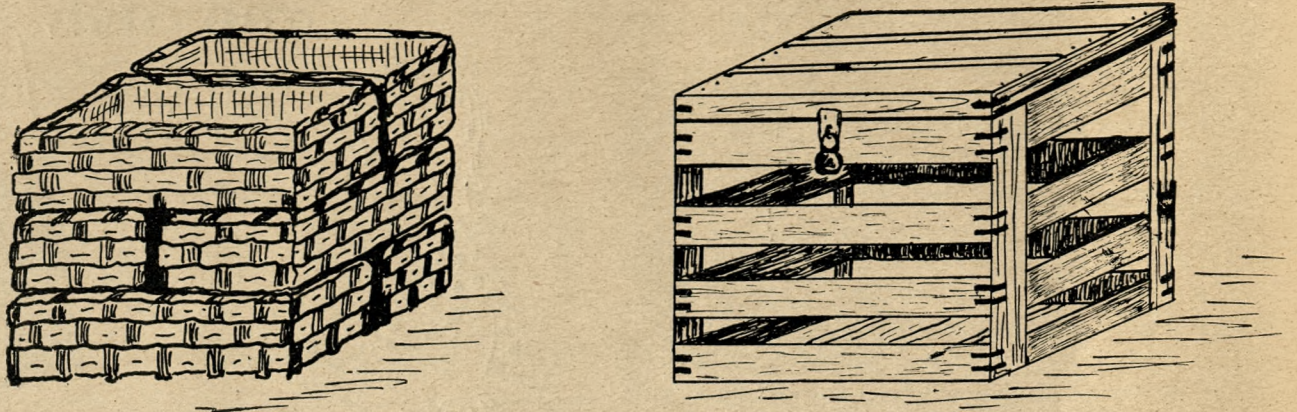
Najładniejsze, największe owoce zbieramy, układając je uważnie do łubianek — będzie to „wybór I”. Drobniejsze, lecz zdrowe i ładnie dojrzałe, dadzą „wybór II-gi”. Jako „wybór III-ci”, czyli „odpadki”, pójdą wszelkie owoce nadpsute, przygniezione i uszkodzone.

Wybór I — będą to owoce deserowe, wybór II przeznaczymy na wszelkiego rodzaju przetwory, wybór III nadaje się jedynie na marmeladę.

Najwygodniejsze do zbioru truskawek są koszyczki łubiane o następujących wymiarach: długość 24 — 25 cm., szerokość 14 cm. i wysokości 7 cm.; mieszczą one 1 kg. owoców netto, tak, że te nie wystają za brzegi.

Łubianka taka, przybrana liśćmi z ułożonymi zrecznie owocami truskawek, ładnie i estetycznie wygląda, podana do podwieczorku.

Zbierać też można truskawki do tekturowych pudełek-tacek (podobnych do tych, jakie w cukierniach używają do pakowania ciastek); są one jednak mniej praktyczne, gdyż trzymane w ręku odgniatają



Rys. 2. Opakowanie do transportu kolejowego.

jagody, są jednak tańsze od lubianek, co pozwala oddawać je kupującemu wraz z owocami.

Truskawki, zebrane do lubianek, waży się netto 1 kg. Przy sprzedaży doliczamy koszt opakowania.

Wysyłając truskawki na targ w dużej ilości, musimy przewozić je na resorowych wózkach, jadąc bardzo wolno. W przeciwnym razie owoce, wybrane w ogrodzie, jako wybór I, przychodzą na targ, jako jedna cieknąca masa i możemy dostać za nie zaledwie cenę wyboru III-go, czyli odpadków. Mając rynek zbyt blisko, tak, że owoce dowozimy na wózkach, układamy lubianki wprost do wózka ciasno jedna obok drugiej, aby się nie ruszały w czasie jazdy. Górną warstwę lubianek oddzielamy od dolnej przy pomocy desek, odpowiednio przymocowanych do boków wózka. Z wierzchu kładziemy kratę drewnianą, którą nakrywamy płachtą w celu uchronienia owoców od kurzu lub deszczu.

Mniejsze ilości na rynek miejscowy lub do sklepów (np. w osadach podmiejskich) odsyłamy, układając lubianki z owocami, przykryte liśćmi, na noszach ciasno jedna obok drugiej, lub do jednego większego płaskiego kosza.

Do transportu koleją pakujemy truskawki w jednokilogramowe lubianki, wysłane liśćmi i niemi nakryte. Lubianki takie, po 6 — 8 — 10 sztuk, układamy do odpowiednio dopasowanej większej lubianki, lub ażurowej skrzyni, zbitej z cienkich deseczek (patrz rys. 2).

Truskawki przechowują się bardzo trudno. Chcąc je mieć świeże jeszcze na drugi dzień, musimy zerwać owoce bardzo delikatnie, poukładać uważnie, na płaskie półmiski cienką warstwą i wynieść do chłodnej piwnicy.

Większe ilości możemy przechować najwyżej do drugiego dnia w chłodnej, przewiewnej piwnicy lub szopie w płaskich koszykach czy lubiankach; zaraz nazajutrz, bardzo wczesnym rankiem, trzeba je wywieźć na rynek.

Po ukończonym zbiorze oczyszczamy truskawczarnię z zielska. Jeżeli rozsada jest niepotrzebna, motykujemy, usuwając wyrastające rozłogi, aby plantacja zbyt nie zarosła (nie zdziczała), żeby krzaki mogły rozrosnąć się należycie i wydać na rok przyszły odpowiedni plon.

Jak wiemy, truskawki rozmnażają się dwojako: przez nasiona (a więc owoce, o które nam chodzi) i wegetatywnie, czyli przy pomocy rozłogów.

Otóż usuwanie rozłogów zmusza krzaki do wytwarzania jaknajwięcej kwiatów, a zatem owoców i nasion, aby tą drogą podtrzymać gatunek. Pielenie, jako też i obrywanie rozłogów, powtarzamy do jesie-

ni jeszcze kilka razy, tak, by na zimę pozostawić truskawczarnię zupełnie czystą.

Truskawczarnię, która plonowała 3 lata, po zbiorze zaorzemy, wybierając krzaki, aby znów nie wrastały, a cały teren obsiejemy poplonem, np. rzodkwią zimową, szpinakiem na zbiór jesienny, lub wczesny wiosenny.

Uważam jednak, że najlepszym poplonem będzie tu mieszanka: wydusi ona perz, który po 3-4 latach, pomimo najstaranniejszej nawet pielęgnacji, musiał silnie się rozrosnąć.

Zofja Wróblewska.

## PIĘTNAŚCIE PROCENT

Jeżeli na pierwszy plan możliwych do wprowadzenia oszczędności wysunęłam oddalenie stałej służby, a obchodzenie się przychodzącą na parę godzin posługaczką, to dlatego, że właśnie ta reforma daje największe, najbardziej dające się odczuć rezultaty.

Inne rodzaje oszczędności polegają raczej na porządnym traktowaniu, nieniszczeniu posiadanych przedmiotów, i nie dają tak bezpośrednich, tak namacalnych korzyści. Do nich naprzykład, pomiędzy innymi, należy zdejmowanie lepszej sukni, noszonej na ulicę lub do biura, i używanie w domu gustownej, lecz skromnej sukienki z tkaniny łatwej do prania; należy przestrzegać tego również w stosunku do dzieci, które sukienki szkolne — przeważnie mundurki — powinny zmieniać też na bawełniane, łatwe do prania sukienki i ubranka. Przywróćmy do łaski zaniedbane, a tak ciepłe barchany i flanelki. Łata w porę położona, dziura zacerowana, plama natychmiast wywabiona — stanowią nieraz o dwukrotnie dłuższej egzystencji ubrania.

To samo z obuwem. Dzieci szczególnie, ciągle poruszające nogami, trąc jeden bucik o drugi, więcej je niszczą, siedząc przy nauce, niż chodząc. Powinny więc po powrocie do domu zmienić kosztowne, skórkowe obuwie, na lekkie, miękkie pantofle, co nawet dla ich nóżek jest bardzo zdrowe i wygodne. Pani domu, idąc za przykładem dzieci, nie tylko zaoszczędzi eleganckie obuwie spacerowe lub wizytowe, lecz i mniej zmęczy nogi przy krzątaniu się około gospodarstwa.

No i jeszcze jedna rzecz, u nas tak nielubiana: fartuchy — takie, dobrze obmyślane, chroniące przód sukni i rękawy od powalania i otarcia. Kto nie znosi długich i szerokich fartuchów w rodzaju doktorskich i pielęgniarskich, niech nosi małe, zręczne fartuszki,

chroniące tylko przód sukni, a na ręce wdziewa półrękawki (na gumkach), jakie noszą ekspedjentki marsarskie. Są to drobiazgi, ale w końcu roku dają poważne cyfry, zaoszczędzone dzięki niezniszczeniu ubrania.

Również poważne oszczędności można zrobić na bieliznie. Każda pani domu wie, jak nietrwale są powojenne materiały bieliźniane; lecz czy na tę nietrwałość nie wpływa w dużej mierze i niedbałe konserwowanie tej bielizny? Przedewszystkiem zabójczy jest dla niej system rzadko bardzo urządzanego „wielkiego prania”. W niewielu tylko domach jest specjalne, przewiewne schowanko na brudną bieliznę, lub chociaż duży kosz, gdzieby luźno ją trzymać można. Spakowana w ciasny wór lub skrzynię, leży długie tygodnie, nieraz miesiące całe, pot i brud ją przeżera, przędą; plamy tłuste, owocowe, od win, niszczą tkanki, tak się w nich utrwalając, że przy praniu nie dadzą się wywabić zwykłym mydleniem i lekkim tarcieniem.

Gdy nadchodzi nareszcie ten dzień „wielkiego prania”, — tortury dla pani domu i dla domowników — dzień, w którym całe mieszkanie jest przepojone zapachem mydlin (często-gęsto i chlorku), dzień, kiedy we wszystkich posiłkach i zajęciach panuje chaos i zamieszanie, kiedy wściekła baba-praczka, i również wytrącona z równowagi zwykła służąca zęcają się wprost nad każdą sztuką bielizny i zastarzałym w niej brudem — takie „wielkie pranie” jest, według mnie, może podświadomem, lecz nie mniej karygodnym niszczeniem bielizny.

W małych rodzinach co dwa tygodnie, w licznieszych co tydzień, należy popołudnie stałej służącej, bądź też posługaczki poświęcić na pranie. Nieduża ilość niezanoszonej i niezależnej bielizny doskonale w kilka godzin się upierze. Bielizny nigdy długo nosić ani używać stołowniczo do zupełnego zbrudzenia nie należy: utrudnia to pranie i nietylko nie jest oszczędnością, lecz, wręcz przeciwnie, przyczynia się do przedkiego zużycia, zniszczenia bielizny. Chcąc uniknąć niszczenia bielizny przez długie i mocne tarcie, albo, co jeszcze gorsze, przez mocne gotowanie w ługu, sodzie lub bieliadle, należy w wigilję prania namoczyć ją całą w zimnej wodzie. Na kilka zaś godzin przed praniem przepuścić przez wyżymaczkę i na sucho każdą sztukę namydlić, zwinąć mocno w rolkę i ułożyć sztukę przy sztuce w balji. Brud tak doskonale odstanie, że zwykle po jednym przepraniu już bieliznę taką płókać można.

To, co tutaj piszę, nie jest wcale jakimś traktemem, ani nawet artykułem o praniu. Są to tylko uwagi o sposobach oszczędzania bielizny. Pozostają one w ścisłym związku z trudnościami gospodarzami, jakie dotknęły setki tysięcy rodzin urzędniczych na skutek piętnastoprocentowej redukcji płac.

Oszczędności na należytem utrzymaniu, a raczej utrwaleniu bielizny nie dadzą się narazie obliczyć w złotych; przy końcu roku jednak, w dobrze prowadzonej książce rachunkowej, okaże się, jak poważnie zmniejszyła się pozycja na reperację ubrania i bielizny.

Poza ubraniem i bielizną, można też, przy dobrej chęci, znacznie zaoszczędzić opału i światła; pierwsze, t. j. opału, nietylko przy opalaniu pokoi, ile przy gotowaniu posiłków. I w piecach pokojowych można znacznie mniej spalić węgla, jeśli codziennie dokładnie wygarniemy popiół z popielnika. Ciąg będzie większy, piec się prędzej rozpali, prędzej możemy go zamknąć i mniej ciepła pójdzie na marne.

Co do kuchni, to panuje u nas zwyczaj naprzód rozpalania ognia, który godzinami buzuje w oczekiwaniu na potrawy, mające się gotować. Otóż — jeżeli naprzód oczyścimy jarzyny, przyrządzimy mięso, czy rybę, zgromadzimy wszystko, co do danego posiłku jest potrzebne, a dopiero potem rozpalimy ogień, aby bezpośrednio na nim wszystko ustawić, jeśli będziemy pilnowali, aby po добrem rozpaleniu ognia luft nieco przysunąć, dolne drzewiczki przymknąć i przez to zmniejszyć ciąg pod blachą, szybkie spopielanie węgla, czy drzewa — możemy na tem zrobić poważną oszczędność opału.

O gazie już mówić nie będę: zaprowadziłoby mnie to zbyt daleko. Tak idealny wprost, kuchenny środek opałowy wymaga dużo inteligencji przy stosowaniu go. Pani domu, sama na nim gotując, potrafi użycie jego zmniejszyć o połowę, nie zmniejszając ilości dań, na gazie przygotowanych. Trzeba tylko uwagi, aby w porę zmniejszyć płomień, w porę go znów zwiększyć, w porę zgasić — aby ani przez chwilę ten cenny płomień nie płonął niepotrzebnie.

*Pani Elżbieta.*

## OBIADY DLA PRACUJĄCEJ INTELIGENCJI

(NA PIĘĆ OSÓB).

*OBIAD POSTNY.*

*Chłodnik.*

*Śledzie smażone w klarze — salata zielona.*

*Ryż na gorąco — sos owocowy.*

Pęczek młodej botwinki, lub czterdzieści deka czerwonych buraczków, oczyścić, uszatkować jaknajdrobniej, ugotować na miękko w litrze osolonej wody; na dogotowaniu wlać parę łyżek octu, zagotować jeszcze razem i ostudzić. Trzy jaja ugotować na twardo, pokrajać na ćwiartki, lub na plasterki. Duży ogórek lub dwa mniejsze po obraniu z łupinki pokrajać w drobną kostkę. Usiekać drobno garstkę zielonego koperku i tyleż zielonego szczypiorku, lub, lepiej, zielonego, młodego szczypiorku od cebuli; zieleninki te utłuc doskonale w moździerzu wraz z łyżeczką soli. Litr dobrego zsiadłego mleka wraz ze śmietaną ubijać trzepaczką, aż się całe stanie gładkie jak śmietana. Zmieszać z botwinką, czy buraczkami, włożyć ogórki, utłuczoną zieleninkę i wylać do wazy na pokrajane jaja. Przed podaniem włożyć do chłodnika tyle kawałków lodu, ile mamy osób przy stole. W braku lodu wynieść chłodnik na trzy godziny do zimnej piwnicy.

Trzy bardzo duże lub cztery mniejsze śledzie o twardem, białem mięsie, dobrze wymoczone, obrać starannie z ości, odrzucić łby i ogony, skórkę pozostawić na śledziach. Każdego śledzia przekrajać raz wzdłuż, raz wpoprzek, aby otrzymać cztery równe kawałki. Szklanekę mąki pszennej rozbić z dwoma żółtkami, łyżeczką soli i taką ilością zimnej wody, aby ciasto było nieco gęstsze, niż na naleśniki. Dodać białka, ubite na sztywną pianę. Kawałki śledzia maczać w tem cieście i smażyć na rozpalonym na patelni szmalcu. Parę główek kruchej salaty, obmytej i osączonej, w chwili podania osolić, skropić oliwą i octem i podać do gorących śle-

**TEPI MOLE w ZARODKU**



**LOTNY-CZYSTY-EKONOMICZNY**  
**ZAKŁADY PRZEMYSŁOWO-HANDLOWE**  
**ST. ZELKOWICZ I S-KA. WARSZAWA, DŁUGA 9**

Cena 1 zł. 25 gr.



Do nabycia we wszystkich składach aptecznych i perfumerjach.

737

dzi. Dobrą szklankę ryżu ugotować na sypko. Pół szklanki jakiegobądź syropu owocowego (może być syrop pozostały od konfitur) zagotować z dwiema szklankami wody. Deserową łyżkę mąki kartoflanej rozprowadzić paru łyżkami zimnego płynu, wlać do reszty, raz zagotować. Częścią tego sosu polać ryż, resztę podać w sosjerce. Gdyby ryż był mało słodki, podać do niego drobny cukier.

Pani Elżbieta.

## PRZEPISY GOSPODARSKIE

### ZRAZIKI CIEŁĘCE Z WĄTRÓBKĄ.

Sześćdziesiąt deka cielęciny bez kości pokrajać wpoprzek włókien na sześć cienkich zrazików, wybić doskonale, aby się mięso prawie zmasowało. Czterdzieści deka wątróbki obciągnąć z błony, wymoczyć w zimnej wodzie, wycisnąć w kawałku płótna, pokrajać również na sześć cieniuchnych płatków. Każdy kawałek cielęciny pokryć wątróbką, w środek włożyć platek wędzonej słoniny (10 deka na sześć zrazików), zwinąć jak zrazy zawijane, obwiązać mocną nitką, nie solić. Zrumienić ze wszystkich stron na maśle, dopiero po zrumienieniu posolić. Złożyć do rondelka, podlać masłem, w którym się smażyły, kilku łyżkami rosołu lub wody i dusić wolno pod pokrywą. Po mniej więcej pół godzinie podlać półkwatkiem śmietany, zagotować razem i podać z ryżem na sypko i kaszą puchową z kartofli.

### RACUSZKI Z SZYNKĄ.

Mają tę zaletę, że dadzą się zrobić naprędce i można na nie zużyć drobne kawałki szynki, pozostałe przy krajaniu. Czterdzieści deka mąki rozbić na misce z dwiema szklankami mleka, łyżeczką soli i proszkiem do pieczenia „Luba“. Wbić dwa jaja całe. Wybijać mocno pięć minut, aż ciasto się zrobi gładkie i pokażą się na niem pęcherze. Dodać ćwierć kilo drobno pokrajanych obrzynków szynki i garstkę siekanej, zielonej pietruszki. Wymieszać dobrze i kłaść stołową łyżką racuszki na rozpalony na patelni szmalec. Zrumienić z obu stron, po usmażeniu składać do rondelka, postawionego na drugim rondlu z gotującą się wodą, aby nie ostygły. Podawać bardzo gorące. Do nich można podać kwaśną śmietaną, lub mizerję z ogórków, zprawioną śmietaną.

## Zbliża się wiosna

i ożywczy powiew majowy zrywa ciężkie futro z ramion Pani. Lecz z uroczą wiosenką nadchodzą i nowe kłopoty. Delikatne kolorowe sukienki nasuwają najistotniejszą dla każdej gospodyni kwestję prania, ważnym jest przeto dobór odpowiedniego środka do prania nie zawierającego szkodliwych składników. Wymaganiom tym odpowiadają jaknajlepiej Płatki mydlane Lux które nie niszczą kolorów i nie naruszają delikatnych tkanin.

Lux sprzedaje się tylko w oryginalnych paczkach, nigdy zaś luzem.

### WIOSENNA SAŁATA KARTOFLANA.

Kilo kartofli ugotować z łupinkami, obrać, dopóki gorące, i pokrajać w jaknajcieńsze płatki. Sporą garstkę koperku i tyleż szczypiorku usiekać drobno i zmieszać z kartoflami, zanim jeszcze nie ostygły, gdyż chodzi o to, aby się jaknajlepiej przejęły zapachem tych zieleninek. Dwa jaja całe wbić do rondelka, wlać pół filiżanki octu, postawić na niedużym ogniu i ubijać trzepaczką, aż cała masa zgęstnieje. Strzec się przed mocnym zagotowaniem, gdyż jaja się zwarzą. Zdjąć z ognia, dodać łyżeczkę soli, drugą cukru i dwie stołowe łyżki oliwy. Jeszcze ubijać mocno minut kilka. Stygnącym sosem polać kartofle, wymieszać dobrze i wynieść na chłód na godzin parę przed podaniem.

### MUS POZIOMKOWY.

Pół kilo aromatycznych poziomek leśnych przetrzeć przez rzadkie sito, dodać sok, wyciśnięty z cytryny, szklankę cukru i tyle wody, aby całego płynu było pół litra. Dwa deka czerwonej żelatyny rozpuścić w paru łyżkach wody, dodawać do niej potrosze masy poziomkowej, aby wlana odrazu do chłodnej całości, nie ścięła się przedwcześnie. Dodać jedno lub dwa surowe białka i ubijać trzepaczką na lodzie, aż zgęstnieje. Formę wylać wodą i wysypać grubym cukrem. Przełożyć mus i wynieść na chłód na godzin kilka. Wyłożyć na półmisek i podać z lekkimi wafelkami lub makaronikami.

### TRUSKAWKI W SOSIE ŚMIETANKOWYM.

Cztery żółtka utrzeć do białości ze szklanką cukru. Dwie szklanki dobrego mleka, lub rzadkiej śmietanki zagotować z kawałkiem wanilii. Kilka łyżek śmietanki wlać do żółtek, wymieszać dobrze, wlać do reszty i dalej ogrzewać na wolnym ogniu, aby sos zgęstniał, lecz się nie zagotował, gdyż jaja mogłyby się zwarzyć. Kilo dużych truskawek oplókać prędko na sicie, dobrze osączyć, obrać z ogonków, ułożyć na kryształowej salaterce. Zalać stygnącym sosem i wynieść na parę godzin na lód. Podawać bardzo zimne wprost z lodu.

Pani Elżbieta.

## DROBNE OGŁOSZENIA

NAUCZYCIELKA - wychowawczyni gimnazjum, młoda, przyjmie kondycję na lato za utrzymanie. Dobra konwersacja francuska. Wilcza 44 — 50.

ZNAKOMITY miód wysyłam w 5 kg. puszkach za pobraniem 26 zł. — Parypowa, Nadziejów, p. Dolina, Małopolska.

## WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł., kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.  
Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.  
Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.  
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.  
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.  
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz“. Rymska 8, tel. 244-18.